Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 10. Października 1880 r. **Tom XI.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 41.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

Z CIĘŻKICH DNI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

napisał

TEOD. TOM. JEŻ.

Tom II.

(Ciąg dalszy).

XV.

Sawa Szpak.

Złowrogie owe połyski, które staremu pasiecznikowi z Hrybek w oczach przelatywały, zniewalają nas cofnąć powtórnie opowiadanie nasze, i to nie o lat cztery jak za pierwszym razem, kiedyśmy historją znalezionej w burzanach niewiasty wyprowadzić potrzebowali, ale o lat trzydzieści z górą, kiedy jeszcze Władysław IV w Polsce panował. Zmiana ta nagła w czasie pociąga za sobą i zmianę miejsca. Przeniesiem się jednak nie do pałacu pańskiego, a zawsze do futoru, ale do futoru jednego z takich, co to pieśniarzom ludowym służą za źródło natchnień poetycznych. Było to pieścidełko, nie chata, rzucone nad brzegiem rzeki szerokiej. Słonko je oblewało, rzeka odbijała, jabłoń ocieniała, malwy stroiły. Za chatą rozlegał się obszerny sad fruktowy, pełen wiśni i czereśni; przed chatą podwórko niewielkie. W sadzie słowiki na wiosnę wrzawę sprawiały i szpaki na wiśnie spadały, a niekiedy brzmiała piosenka dziewicza, która, zdawało się, tonami przylegała do fal i miała wtór w ich plusku.

Rzeka wspaniała, co u stóp chaty płynęła, był to głośny w ukraińskich dumach i dumkach Dniepr.

Futor leżał w tem samem miejscu, w którem rozlega się obecnie miasto Ekaterinosław. Miasta owego, ani osad w górę i w dół onego, jak Nowe Kojdaki, Dziówka, Sochaczówka, Mandrówka, Kamionka, Stare Kojdaki, śladu jeszcze nie było. Natomiast brzegiem rzeki ciągnęły się futory rozkoszne, zakładane przez Siczowców, którym dokuczyło życie burzliwe. Umieli się oni zabudowywać i urządzać. Stawiali sobie domki śliczne, zaprowadzali sady cieniste i używali życia, oddając się pracy o tyle jeno, ile potrzeba do zasilania apetytu i podtrzymywania dobrego humoru. Dodać należy, iż fundusz zakładowy, który im do zagospodarowania się służył, stanowiły łupy wojenne. Życie ich napełniały wspomnienia sławy mołojczej. Po futorach gościnność praktykowała się na szeroką skalę.

Na futorze, o którym mowa, mieszkał Iwan Bandura, ekszaporożec, lat pięćdziesięciu z okładem. Miał on żonkę nie starą i córkę młodziutką. Pierwsza go z Siczy wywabiła, druga mu życie ozłociła.

Zaporożce to mieli do siebie, że gdy raz krępującą ich regułę przełamali, to stawali się łagodni i tkliwi. Przytrafiło się to i Bandurze. Wywabiła go z Siczy miłość dla dziewczyny czarnobrewej; miłość ta rozwijała się i wgarnęła w siebie dziecko jedyne, jakie mu Pan Bóg dał, zlewając się na dziecko to z potęgą ogromną. Małanka stała się dla ojca życiem, światem, a to tem bardziej, że wyrosła ludziom na podziw: od matki wzięła oczy czarne, od aniołów chyba lica, od róży rumieniec, od korali usta, od pereł zęby, od trzciny dnieprowej kibić i wiotkość, słowem, była... cudo nie dziewczyna. Matka się nią pyszniła, ojciec, gdyby tego potrzeba się okazała, pod nogi by się jej podścielał.

Rzecz naturalna, tak dla gościnności starego Bandury, jako też dla piękności Małanki, goście z futoru nie wychodzili prawie. Jedni czajkami do brzegu przybijali, drudzy konno dojeżdżali. Trafiali się pomiędzy nimi zaporożce, starzy i młodzi — pierwsi brali za pretekst odwiedzenie dawnego towarzysza, drudzy przybywali bez pretekstu.

Dziewiczy rozkwit Małanki przypadł w tym właśnie czasie, kiedy rycerstwo nowe, jakiem było kozactwo, poczuwając się do praw stanu rycerskiego, rywalizować poczęło ze starem, jakiem była szlachta. Rywalizacja owa, logicznie rzeczy biorąc, wyrazić się inaczej nie mogła, jak tylko za pomocą walki orężnej. Szlachta stara stała przy nabytych przywilejach twardo i przypuścić nie mogła, ażeby obok niej stanąć miała szlachta inna. Zachodziła w tem nielogiczność, szlachta bowiem polska wytworzyła się w sposób takiż sam, śród odmiennych jeno okoliczności, w jakich wytwarzało się rycerstwo kozacze. Tak to ostatnie, jak ona, wyszło z łona społeczeństwa, wyprowadzone przez potrzebę obrony kraju: poczuwało się przeto do praw; — a że rzeczpospolita nie kwapiła się z przyznawaniem mu takowych, więc rwało się do oręża, w celu zdobycia sobie siłą — mocą tego, co mu się słusznem wydawało. Taką była pierwotna, źródłowa racja wojen kozackich, których pierwsze początki odnoszą się do panowania Władysława IV. Bunty wybuchły; wojska polskie karciły buntowników surowo; zawziętość ze stron obydwóch wzrastała — założonym został Kudak.

Założenie Kudaku, bardziej aniżeli inne środki represyjne, podrażniło umysły.

Nie gadano jak tylko o niem, zwłaszcza gdy w warowni stanął garnizon złożony z Francuzów, śród których Polaków znajdowało się kilku zaledwie.

Od Kudaku do futoru Bandury było nie dalej jak półtora ukraińskiej mili.

Kozacy, tak wolni jak rejestrowi, zbierali się tam często: Bandura stawiał miód i gorzałkę, Bandurzycha piekła bałabuszki i gotowała buchańce — pili, jedli i rozprawiali. Rozprawiali starzy; młodzi za Małanką okiem ścigali.

Śród młodych odznaczał się szczególnie Sawa Szpak — ten sam, któregośmy poznali pod postacią pasiecznika. Nie odznaczał się on jednak ani urodą — był rosły, barczysty, ponury; ani bogactwem — zaporożec, nic nie posiadał na własność; ani wymową — milczał zwyczajnie, ale z osobliwym w oczach wyrazem, gdy na dziewczynę spoglądał. Dosyć było wyraz ten widzieć, ażeby poznać, że on dla Małanki gotów był świat zburzyć i odbudować. Milczał jednak — zdawało się, jakby oczekiwał na coś.

Dziewczyna odczuła wzrok jego na sobie i spoglądała niekiedy na niego z zadziwieniem. Miała się dziwić czemu. Każdy z mołojców ją *zaczepiał*, on jeden nie — ale wzrokiem wypowiadał, że jeżeli zaczepi kiedy, to nie na to, ażeby puste stroić zaloty. Małanka wiedziała, że ją Sawa kocha.

Tak było w istocie samej. Sawa kochał miłością płomienną, namiętną, dziką. Zalotów stroić nie umiał; na zalotników nie zważał: — zapatrywał się na Małankę jak na własność swoją, którą miał zabrać kiedyś. Kiedy atoli i jak?... Pod względem tym spuszczał się na przyszłość, na los, na zbieg okoliczności, na... — sam na co, nie wiedział.Ześrodkowywał niejako miłość swoją w sobie i czekał.

I zaglądał na futor często. I spotykał tam ludzi dużo. I przysłuchiwał się rozprawom bez końca o Kudaku.

Spotkał razu pewnego żołnierza młodego, którego strój oznaczał, że należy do autoramentu cudzoziemskiego, stojącego załogą w warowni. Znajdowało się właśnie rejestrowych i nierejestrowych z dziesiątek. Siedzieli dokoła stołu, popijając gorzałkę miodem i pieprzem zaprawną, w której Bandura smakował szczególnie.

Żołnierz zasiadł śród nich i rozprawiać począł. Mówił o Kudaku, ale się to głowy Sawy nie czepiało — tłumaczył i wykładał. Sawa patrzał na niego, a oglądając wzrost jego słuszny, postawę szykowną i oblicze naznaczone cechą piękności męzkiej, myślał w duchu sobie:

— Ej, czemuż to ja nie taki?...

Myślenie to wzięło się w głowie jego nie wiedzieć z kąd i nie wiedzić dla czego — z przeczucia chyba: podczas bowiem kiedy on na żołnierza patrzył, i Małanka z po za drzwi przypatrywała się żołnierzowi pilnie — i, niechcący niby, pokazała mu się i zwróciła uwagę jego na siebie, tak, że on, rozprawiając o Kudaku wciąż, jąkać się począł, i mówiąc, nie na kozaków za stołem, a na drzwi spoglądał. Następnie wsiadł na koń i odjechał; przejeżdżając jednak mimo wiśniowego sadku, konia na chwilę zatrzymał i w gąszcz ukłony posyłał.

Czytelnik nie weźmie nam za złe, że romansu, który epizodycznie do powieści wchodząc, wyrzuca nas z kolei opowiadania o lat czterdzieści blizko w tył, nie podajemy w osnowie całej. Zresztą historja romansu tego znaną jest i ogadaną. Może się ona w sześciu opisać wyrazach. Dziewczyna pokochała panicza, panicz dziewczynę uwiódł. Małance rumieńce zbladły, smutek w serce zapadł. Matka dowiedziała się rzeczywistości przerażającej — skoczyła na nią, za włosy ją pochwyciła i po izbie włóczyła. Ojciec osłupiał. Ona wyszła do sadku i do Dniepru skoczyła. Oto historja romansu, podana w streszczeniu jak najzwięźlejszem, którego osnowę niech czytelnik »w duszy swojej dośpiewa«.

Wydobyto Małankę z wody, złożono przed chatą. Bandura stał w osłupieniu. Bandurzycha lamentowała, ręce łamiąc i włosy pod namitką sobie targając.

W chwili tej pojawił się Sawa.

Zrazu niby wściekły, skoczył do dziewczyny, jakby ją w ramiona pochwycić chciał; — lecz się powstrzymał, dłoń sobie do czoła przycisnął i wydał z piersi jęk do ryku podobny. W słuch wpadły mu wyrazy matki Małanczynej:

— Przekleństwo na niego!... Piekło jemu!... On to... on sprawcą licha całego!... Oj, biednaż moja *hołowońka!...* Oj, gdzież ja oczy podzieję teraz!... Oj, dońko ty moja!... takaż tobie smutna przypadła dola!... Na toż ja ciebie urodziła, w serwatce kąpała, lubystkiem kadziła!...

Matka *hołosyła*. Sawa stał czas jakiś, ni martwy, ni żywy, aż wstrząsnął się cały i z podwórka szybkim oddalił się krokiem.

Widać go nie było przez czas jakiś, w ciągu którego krążyły nieobchodzące już wcale Bandury i Bandurzychy wieści o Kudaku. Słuchali, ale nie słyszeli. Doszedł ich dnia pewnego huk jakiś daleki, słaniający się niejako po falach dnieprowych. Było to nad rankiem. I Bandura i Bandurzycha myśleli nie o huku, ani o możliwych powodach onego, ale o tem, jak to Małanka w zimnej leży mogile. Na myśleniu tem zeszedł im dzień cały. Nikt do nich nie zajrzał. Wieczorem dopiero pojawił się na podwórku Sawa, ale nie sam. Przyprowadził na powrózku, za szyję, uwodziciela za sobą. Zoczywszy tego ostatniego, Bandurzycha porwała się i skoczyła z paznogciami nastawionemi. Sawa zastawił panicza sobą i:

— Nie tak... — rzekł. — Prowadź na to miejsce, z którego Małanka do Dniepru skoczyła...

— Chodź!... chodź!... — zawołała kobieta, spiesząc przodem.

Zaprowadziła na brzeg urwisty.

— Oto tu!... Ach! ty!... — zwróciła się do żołnierza z pięścią zaciśniętą.

Lecz czasu na przemawianie do niego nie miała, w tej bowiem chwili Sawa do wody go wtrącił.

— Masz!... — zawołała. — Zgubiłeś ty... zgubiłeś się i sam jednak!...

Sawa na brzegu stał, póki się powierzchnia wody dnieprowej nad żołnierzem nie zwarła. Postał trochę i odszedł.

Nazajutrz dopiero doszła na futor wiadomość o zdobyciu Kudaku przez Sulimę i Pawluka, o wyrżnięciu załogi i o zburzeniu warowni.

Nastąpiły bunty okropne i również okropne uśmierzania takowych.

Sawa, rzecz prosta, znajdował się po stronie buntowników, poczynając sobie walecznie, ile razy okazja się trafiła. Dzikość w nim wrzała; do wszystkich czuł nienawiść; nie oszczędzał siebie. Nadeszła bitwa pod Kumejkami. W zapale akcji widmo jakieś w oczach mu nagle stanęło. Ujrzał przed sobą żołnierza, którego utopił. Rzucił się z wściekłością, ramiona rozwarł, mniemanego topielca w nie pochwycił, z konia go ściągnął i pocisnąwszy konia swego, z pola bitwy uciekł. Ze przeciwnika w uścisku nie udusił, to przypisać należy ostatniego tego szczęściu, jako też szczęściem było jego, iż się zawczasu oddalił z pod Kumejek, gdzie niejeden z kozaków głową nałożył. On wyszedł ręką obronną ze zdobyczą, którą zawiózł w miejsce odludne, w las głuchy i do drzewa przywiązał. Nadaremnie żołnierz wypraszał się:

— Puść... chcesz okupu, dostaniesz okup suty...

— Góry złota nie przyjmę za ciebie... — odpowiadał.

— Więc zabij! zabij co rychlej!...

— Czekaj...

Usiadł i patrzył na przykrępowanego do drzewa. Patrzył, patrzył i myślał nad tem, jakimby to sposobem odemścić mu, nietylko za śmierć Małanki, ale oraz i za to, że nie utonął, kiedy go do wody wrzucił. Patrzył, niekiedy się dziko uśmiechał, a ile razy ten prosił »skończ już!«, zawsze odpowiadał:

— Czekaj jeszcze trochę...

Wymyślił nakoniec. Wstał i począł *łomacze* zbierać. Łomacze zbierał i żołnierza niemi dokoła obkładał. Ten domyślił się, co z tego będzie.

— Nie gub mnie w ten sposób... — przemawiał. Chrześcjanin jesteś...

— Aha!... — była Sawy odpowiedź cała.

Gdy stos był gotów, sięgnął do kieszeni po krzemień, po krzesiwo i po hubkę. Wydobył krzemień, wydobył krzesiwo; hubki jednak szukał nadaremnie. Kieszenie wywracał, rozbierał się — żeby gdzie bodaj kawałeczek!

— Widzisz... — odezwał się przywiązany. — Bóg sam nie pozwala, ażebyś mnie żywcem spalił... Masz szablę, dzidę, nóż... przebij!

— Czekaj!... — Sawa na to.

Odszedł, ażeby jeno wyglądnąć, czy nie zoczy między drzewami z rozbitków którego. Spodziewał się też, że znajdzie próchno, co się od krzemienia zapali. Powrócił po małej chwilce z towarzyszem i... splunął jeno. Na drzewie powrózki wisiały, ale panicza przy niem nie było, i co więcej, stos płonął. Zaklął klątwą najcięższą, te słowa dodając:

— Czekaj!... Uchodzisz rąk moich po raz drugi, ale... niechże ja ciebie dostanę raz jeszcze!... A dostanę!...

Upłynęło lat niemało od kumejkowskiej do korsuńskiej. Sawa czas ten spę-

dził w większej części na włóczeniu się po świecie i na oczekiwaniu na okazją. Nienawiść do wszystkich, która stanowiła niejako treść istoty jego, przystygła w nim, przystygła dlatego, że skupił ją na jednym, którego w każdem wyglądał spotkaniu. Długo wyglądał nadaremnie. Pod Żółtemi Wodami, naprzykład, pomiędzy jeńcami chodząc, każdemu w oczy zaglądał, trupy na pobojowisku przewracał — nie było go.

— Lat jedenaście, może go nie poznam... — uwagę sobie uczynił. — Ale nie!... Poznam go za lat sto!...

Kiedy Chmielnicki na hetmanów poszedł i bez boju prawie cały lacki tabór dostał, chodzi Sawa pomiędzy kolasami, przypatruje się, zagląda.

— A tuś mi!... — krzyknął nagle w uradowaniu wielkiem.

Znalazł wroga z ręką zranioną. Chmielnicki, jak wiadomo, zabranych pod Korsuniem hanowi tatarskiemu podarował.. Więc Sawa dostać wroga swego nie mógł. Udał się jednak do Chmielnickiego, do nóg mu się rzucił i sprawę mu swoją przedstawił, błagając o radę. Z tej zapewne racji, Chmielnicki osobiście do hana się wstawił i wyjednał u niego wydanie Sawie szlachcica, który nie był figurą tak znakomitą, ażeby o niego han jegomość stał bardzo. Sawa uradowany poszedł po zabranie własności swojej; ale... nadaremnie. Szlachcic znikł niby kamfora. Rozbijano się za nim po obozie, szukano go na wozach i pod wozami, przetrząsano skrzynie i tłumoki, przetrząsano okolicę dokoła. Straże tatarskie nie umiały nic powiedzieć o nim, pomimo że stały tak gęsto, iżby mysz tylko przemknąć się mogła niepostrzeżenie. Przepadł i tyle — ulotnił się zapewne.

Sawę rozpacz owładnęła.

— Ha!... — rzekł sam do siebie. — Nie co innego tu zachodzi, jeno to, iż mu *ten* pomaga... Niepodobieństwo, ażeby mi się po raz trzeci z rąk wywinął, gdyby niesamowitym nie był... Taką rzeczą nierówną jest gra pomiędzy nami... Hm?... — mruknął i zamyślił się na chwilę. — Nie ma co!... Sto razy jeszcze mogę go do rąk moich dostać i sto razy mi się wywinie, jeżeli i ja niesamowitym nie będę...

Powiedzenie powyższe było powzięciem postanowienia. Sawa opuścił szeregi kozacze i jął się szukać biesa, ażeby się onemu zaprzedać.

Chodził po świecie, szukając wśród chrześcjan i muzułmanów, najprzód pośrednictwa czarnoksiężników płci obojej i poddając się próbom najróżnorodniejszym. Bywał w Krymie i na Turecczyznie. Odbywały się nad nim zaklęcia najstraszliwsze, w obecności czarnych kotów, sów i nietoperzy. Zapalano nad nim świece z łoju człowieczego. Dawano mu do picia wywary z ziół najrozmaitszych. Razy z piętnaście stawał w kole zaczarowanem. I nic! Bies nietylko mu pomocy nie udzielał, ale się nie pokazywał nawet. Z roku na rok nocy kilka we wigilią Nowego Roku przeczekał w paprociach nadaremnie. Dziwili się pośrednicy; dziwił się on sam; dziwilibyśmy się i my, gdybyśmy tłumaczenia tego faktu nie znajdowali w tem, że pokazywanie się djabłów, duchów, nieboszczyków i w ogóle istot wszelkich tego rodzaju, jest wytworem chorobliwej imaginacji ludzkiej. Sawa imaginacją miał zdrową, nie lękał się, gotów był djabłu śmiało w oczy patrzeć i rozmówić się z nim na czysto: dlatego też ten i nie pokazywał się mu.

Pozostawał jeszcze strapionemu człowiekowi sposób jeden, a to: zasłużyć się piekłu tak, ażeby piekło, przyjąwszy go za swego, udzielić mu musiało mocy nadludzkiej, potrzebnej do dosięgnięcia ściganego.

Puścił się więc na łotrowstwa wszelakie, mianowicie zaś na takie, które świętokradztwem trąciły: łupił cerkwie, podpalał domy boże, mordował księży, nie przepuszczał przytem i ludziom świeckim, słowem, dopuszczał się wszystkiego, co jeno piętnował wyraz: zbrodnia. I ileż to razy, spełniwszy czyn najokrutniejszy, odwracał się, wydawało mu się bowiem, że słyszy szmer sił piekielnych, i wołał:

— Dalej-że!... Wychodź!.. Stawaj przedemną z cyrografem!...

Nikt nie wychodził; nikt nie stawał.

Nazwisko jego zasłynęło niebawem, jako imię postaci tajemniczej, okrutnej a okropnej. Znano go tylko po nazwisku. Szpak trwożył ludzi, którym się niepokazywał. Potworzyły się legendy o nim. Głos powszechny lokował go na trakcie Kuczmańskim, przypisując mu własność przemieniania się w wilka, w zająca, w lisa, w mysz, w ptaka, osobliwie zaś w susła i przyjmowania w siebie postrzałów, bez doznawania od takowych uszkodzenia najmniejszego. W opinji ogólnej dopiął tego, czego szukał; w rzeczywistości jednak był jeno zbrodniarzem zuchwałym, niczem innem.

Z biesem się nie spotkał.

Aż zmógł się. Przyszła na niego choroba. Znajdował się pod ten czas w lasach hrybeckich; położył się w ostępie, myśląc, że to przejdzie; i polepszenia nie czując, szukać począł czego, sam nie wiedział czego. Wlókł się od drzewa do drzewa, przysiadał, pokładał się, znów wstawał i znalazł się wobec wrót, w których opadła go psów zgraja. Na szczekanie wyszedł szlachcic niemłody. Psy ledwo się uspokoić dały, tak się zajadle na przybysza miotały. Zajadliwość psów zadziwiła szlachcica tak, że aż zdziwienie to wyraził głośno.

— Nie dziw... — odparł przybysz. — One czują Szpaka.

— Ty Szpak?... — zapytał szlachcic. Pocóż ty tu?...

Czy ja wiem po co!... Niemoc mnie zmogła... chorobę czuję w sobie...

Działo się to późną jesienią. Szlachcic, którym był nie kto inny, jeno pan Maciej Małuski, spojrzał Sawie w oczy. Spojrzał mu jeno w oczy z wyrazem politowania i ten, wzrok spuszczając, ramionami ścisnął powoli. Po chwilce pan Maciej odezwał się:

— Pójdź-że zemną...

— Dokąd?...

— Pójdź jeno, dam ci kącik, w którym będziesz mógł spokojnie doczekać się albo śmierci, albo wyzdrowienia...

— W którym zdechnę... — rzekł starzec: był już starcem podówczas, albowiem przyjście jego na futor miało miejsce na lat pięć przed bitwą przy hrybeckim kopcu.

Pan Maciej milczał na to. Sawa dodał:

— Tylko, że ja iść już dalej nie *zdużam*...

— Oprzyj się na mnie... — rzekł pan Maciej, ramię mu podając.

Ujął go pod ramię i zaprowadził do chałupy przy pasiece, stojącej w porze owej pustką. Nasłał mu słomy. Sawa się położył. Odchodząc, jegomość takie mu zostawił zlecenie:

— Leż-że tu spokojnie; gdyby zaś kto przyszedł przypadkiem, nie powiadaj, żeś Szpak...

Wyszedł i niebawem powrócił z posiłkiem i lekarstwem.

Sawa leżał bez pamięci przez tygodni kilka; jegomość doglądał go troskliwie, zaglądając do niego codziennie rano i wieczorem. Silna natura przemogła chorobę. Starzec się dźwignął i z pierwszych chwil przytomności korzystając, zaczepił pana Macieja:

— Powiedźcie no wy mi, jegomość, na coście to mnie odchowali?...

— Na to, żebyś do zdrowia powrócił...

— A dalej?...

— I poprawił się...

Sawa przez nos odsapnął. Po chwili odezwał się:

— Dziwi mnie, żeście mnie pod miecz kata nie oddali...

— Cóżby tobie przyszło z tego?...

— Alboż wam do mnie co?...

— Żal mi ciebie...

— Żal?... — odrzekł przeciągle ze zdziwieniem wielkiem Szpak.

— Człowiek, widzisz, każdy — tłumaczyć począł jegomość — stworzon jest na to, ażeby pożytek niósł... Ty niósłeś szkodę... Dla tego też mi ciebie żal...

— A jeżeli człowiek nienawiść ma w sercu?...

— To na to ma rozum i wolę, żeby albo nienawiść z serca usunąć, albo usunąć się samemu...

— Usunąć się samemu... — powtórzył Sawa — głową kiwając i jakby się nad sensem słów tych zastanawiając.

— Ot — podchwycił jegomość — jeżeli ci ludzie zawadzają, pozostań z pszczołami...

— Starzec popatrzył jegomości w oczy przez chwilę, głową pokiwał i odrzekł:

— Ha! niech będzie po waszemu... Stanęliście mi w przygodzie nad spodziewanie moje... Jeżeliby przeto na was kiedy przygoda jaka przyszła, a ja zaradzić mógł, to... nie polenię się...

Przez zimę choroba opuściła go zupełnie; na wiosnę stanął jako pasiecznik i pełniąc służbę swoją gorliwie, służył za postrach dla dzieci futorów okolicznych. Pędził życie samotne, nie wdawał się z nikim, z wyjątkiem pana Macieja, i to o tyle tylko, o ile się pasieki tyczyło. Pierwszą okazją, która go z pasieki wyprowadziła,

była bitwa z Tatarami, taka dla hufców polskich pomyślna. Pierwszą rozmową, która się pasieki nie tyczwła, była rozmowa, na jaką jegomość wyciągnął go pod temnikiem. Pan Maciej nie zrozumiał słów jego o biesie, o zapisywaniu mu duszy, o tem, że nie masz prawdy na świecie; zdziwiło go zapytanie jego o Łączyńskiego; zdziwiła go mocniej jeszcze postawa, jaką przybrał Sawa, gdy się dowiedział, że na futorze znajduje się Łączyńskiego córka.

— Córka jego?... — powtarzał, oczami iskrząc i powietrze w siebie wciągając.

— Tyś z nim coś miał... — wtrącił jegomość.

— Ja z nim!... — zaśmiał się dziko. — Jegom to ja w ręku trzymał trzy razy i on to mi trzy razy z rąk się wylamał... Czy ja z nim co miał?...

Tu w krótkich słowach opowiedział przyczynę nienawiści swojej do starosty buskiego i zapytał:

— A co?

— Słuszny twój żal — odparł jegomość — ale niesłuszna żądza zemsty... Widzisz, gdzie ona zaprowadziła ciebie?... Żeby dosięgnąć jednego, zgubiłeś tylu, to znaczy, stałeś się od tego jednego występniejszym tyle razy, o ileś więcej aniżeli on występków popełnił... Cóż, gdyby wszyscy przez ciebie zgubieni pozostawili mścicieli po sobie i mściciele ci ścigać ciebie poczęli!...

— Cóżem począć miał!...

— Przebaczyć...

— Cha, cha!... — zaśmiał się Sawa.

— Miałbyś sumienie czyste...

— Sumienie... — powtórzył starzec ponuro. — Prawda, coś ono znaczy... Westchnął i dodał po chwili: Zostawcie mnie jegomość samego, a przyjdźcie jutro składać ule do temnika...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KRÓL LEAR.

TRAGEDJA SZEKSPIRA

STUDIUM

KAZIMIERZA STADNICKIEGO.

Między tragedjami Szekspira, *Król Lear*, pomimo, że w nim akcji nad miarę, pomimo nagromadzonych zbrodni i gwałtowności ostatecznej katastrofy, która wszystkich głównych działaczy pochłania, przecież mniej od innych pola do głębszych estetycznych studjów nastręcza. Trudno pisać się na zdanie jednego słynnego krytyka, który w niej widzi tylko powiastkę zgrozą i strachem przejmującą *). Akcja bowiem stoi i rozwija się na arcyrealistycznym pokładzie, a w epokach barbarzyństwa i ciemnoty, potworne zjawiska, które nam przedstawia, były zjawiskami nic mniej jak rzadkiemi.

Nie trzeba równie sięgać aż do zamierzchłych wieków, aby trafić na dyby i wyłupianie oczów, a co się tyczy głównych sprężyn dramatu, niewdzięczności dzieci w obec podeszłych rodziców, nienawiści bękartów do swych rodzicieli, i prawego tychże potomstwa, napotyka się te i w cywilizowanych epokach.

Wszystko to więc z powiastką ma nic do czynienia. Gdy zaś autor przeniósł akcję w czasy barbarzyńskie, przyznać należy, że mistrzowskim pędzlem umiał jej nadać odpowiednią tym czasom cechę, do tego stopnia, że nawet osoby, które w nim przedstawiają dobrą stronę ludzkości, jako Kordelja, *książę Albanji*, hrabiowie *Gloster* i *Kent*, nakoniec *Edgar* i trefniś królewski działają jedni tak nieokrzesanie i chropowato, drudzy tak niezgrabnie i nawet bezmyślnie, iż widocznem jest, że oni są także równie jak te, które złe żywioły przedstawiają dziećmi swego wieku.

Jednolitość owa, głównie jest zaletą tego dramatu. Przeciwnie główną jego wadą jest, że ni jedni ni drudzy, najmniejszego współczucia zbudzić nie zdołają, ni dramatycznego ni takiego nawet, które wzbudza ciężka niedola, lub odznaczająca się w jakim bądź kierunku osobistość.

Książę Albanji, który przeżył wszystkich i nową erę w Brytanji rozpoczyna, stoi pod pantoflem żony Goneril. Przy pierwszych jej starciach z ojcem, tylko czczemi frazesami usiłuje on łagodzić jej szorstkość, jako to: „Nie mogę być tak stronniczym jak ty Goneril"... „Za daleko idziesz w obawie twojej...." „Przekonasz się kiedyś, że miałem słuszność".

Gdy spór między ojcem a córką coraz więcej jątrzy się, zachowuje on się całkiem biernie. Dopiero wylądowanie armji francuskiej na wybrzeżach Anglji w obronie króla Leara, pobudza go do robienia wyrzutów żonie; ale ona natenczas przedrwiwa tchórzostwo jego, mówiąc do gacha swego: „ubiorę męża w rynsztunek, a wręczę mu kądziel" (akt 4-ty scena druga).

Trefniś królewski mimo celującego swego dowcipu sprawia smutne, prawie odpychające wrażenie. Póki pan jego był w pełni władzy, on, znając jego tyrańskie usposobienie, nie śmiał bezwątpienia dawać mu nauki lub na koszt jego dowcipkować. Teraz gdy go widzi w niedoli, obsypuje bez ustanku pana swego gradem najdotkliwszych sarkazmów i upominań, które na nic już się nie zdadzą.

W *hrabi Kent* witamy wzniosłą niezaprzeczenie osobistość. Niezachwiana wierność jego ku lennemu panu swemu, śmiałe przytem wystąpienie w obronie Kordelji i gdy wzywa króla by upamiętał się, ostatnie jego słowa w chwili skonania tegoż, „muszę się na podróż przygotować, król mój wzywa mnie, nie mogę powiedzieć nie" są to jedyne światełka na tem tle ponurem. Ale gdy występuje jako poseł króla do tegoż córki Regany, (akt 2-gi scena druga) w chwili, gdy naprężona już sytuacja wymagała wiele umiarkowania, obchodzi się on z ochmistrzem księżny Albanji, który także przybył z poselstwem do Reguny, obelżywie i wyzywająco do tego stopnia, że wiszącą katastrofę nad głową Leara tem o wiele przyspieszył.

Wielbiciele każdej kreacji Szekspira, postawili Kordelię na piedestale tak wyniosłym, że ledwie się ma odwagę przystąpić do jej charakteryzacji. A przecież podejmując się tej pracy bez uprzedzenia, niepodobna zataić ile w tem uwielbieniu jest przesady.

Że celowała w swej sferze dobrocią, przywiązaniem do ojca i łagodnem usposobieniem, ktożby nie przyznał tego; jest to zaś małą pochwałą gdy się pomni, na jej otoczenie. Lecz przy bliższej rozwadze niepodobna zaprzeczyć, że choć wystąpienie jej w scenie, która stanowić miała o losach państwa i całego jej rodu, jest pompatyczne i okraszone piękną wymową, pomimo to przebija się w niej więcej uporu, niż serca i wyrozumiałości.

Znała ona ojca swego tak, jak siostry jej go znały. Ona lepiej jeszcze, będąc ulubionem jego dzieckiem, do tego niezamężna, więc ciągle przy jego boku. Naocznym była świadkiem jego kaprysów, popędliwości i tyranji, która i cienia oporu lub przeciwieństwa nie dopuszczała. Nie mogła zapoznawać, że starzec na siłach upada i dziecinnieje, gdyż on to sam przyznaje, postanawiając ów despota i chciwy władzy (jak sam mówi): „Wszelkie troski i obowiązki ze siebie zrzucić, by wolny od wszelkich ciężarów, do grobu chwiejnym krokiem dążyć" (1-szy akt 1-sza scena).

W tym celu podzielił państwo na trzy części, wyrokując oraz jaką każda z córek posiąść ma. Oświadczenie jego, że tę córkę najlepiej wyposaży, która go najwięcej kocha, było przeto widocznie żartem lub kaprysem zdziecinniałego starca. *Kordelia* mogła snadnie przychylić się do tego żartu, i pięknemi frazesami, któremi łatwiej władać umiała niż ostre i zimne siostry, uradować ojca. Nie popadła by przytem jako niezamężna w przesadę, którą słusznie wyrzuca siostrom, gdy te mając mężów, zaręczają, iż ojca tylko kochają. Że Kordelia tak nie postąpiła pomimo nalegań ojca, dowodzi braku wyrozumiałości, oraz chętkę postawienia na swojem.

Chybiła przytem i jako córka, bo znała swe siostry, „czem jesteście, mówi, tego jako siostra wyjawić nie mogę." Winna więc była nie zrywać wszelkich stosunków z rodzinnym krajem i ojca na łup złym dzieciom nie zostawiać, bo że to będą skutki oporu jej, przewidzieć łatwo mogła.

Dalsze jej kroki nie mogą równie wzbudzić dla niej sympatji. Przekleństwa ojca tem okropniejsze, iż zasłużonemi nie były, przyjmuje z uderzającą flegmą, i prosi go tylko o poświadczenie, że ją odpycha od siebie nie dla jakiej przewiny, ale z powodu, *że brak jej języka wymownego, z czego się zaś szczyci.*

Robi przytem zamianę bardzo korzystną. Starają się o jej rękę król Francji i książę Burgundji. Król oświadcza gotowość ustąpienia przed księciem. Książe żąda posagu, którego ojciec stanowczo odmawia. Na to król bierze ją bez posagu za żonę i tak Kordelia nietylko królową możnego państwa zostaje, ale unika srogich burz, które złość sióstr i nierozważność ojca gromadziły już nad horyzontem Anglji.

Wprawdzie na pierwszą wiadomość o niedoli ojca, spieszy ona mu natychmiast na pomoc, ale król Lear znajdował się już natenczas w przystani Dower. (3-ci akt 7-ma scena).

Była więc możność za pomocą sług wiernych sprowadzić go do Francji, bo na pobycie jego w Brytanji nie zależało nikomu. Ale królowa we własnej familijnej sprawie wytacza wojnę Brytanji, na czele potężnej armji francuskiej wkracza do swej ojczyzny i naraża tem życie ojca na największe niebezpieczeństwo, a stronników jego na śmierć nieochybną. Szczęście nie sprzyjało jej przedsięwzięciu. Po srogiej porażce ginie w więzieniu z morderczej ręki przy

*) Ein Schauer-maerchen. (Ruemelin «Shakespeares Studien»).

boku ojca. Śmierć taka, wynik wojennych losów, może okupić winę, ale aureoli męczeńskiej nie nadaje.

Epizod o *hrabi Gloster* i dwóch jego synach, przejął Szekspir ze słynnego w czasie swoim romansu, Sidneja pod tytułem „Arkadia", którego bohaterem jest król Paflagonji. Aby epizod ów z główną akcją organicznie spoić, zboczył Szekspir o tyle od źródła swojego, że gdy w romansie syn króla z nieprawego łoża ojcu oczy wyłupia, w dramacie spełnia się to z rozkazu córek króla Leara na hr. Gloster, by w jego osobie ukarać gorliwego stronnika ich ojca. *Edmund* zaś, bękart hrabiego Gloster, zdradziwszy ojca a ubezwładniwszy syna tegoż z prawego łoża *Edgara*, zostaje następnie jedną z główniejszych podpór nowego rządu w Brytanji.

Kto zaś czytał w Arkadji ustęp, gdzie król tak rozrzewniająco opowiada niedolę swoją, jak syn jego z nieprawego łoża piekielnemi podstępami doprowadził go do tego, że kazał syna swego z prawego łoża ze świata zgładzić, czego zaś wierny sługa nie uskutecznił, lecz tegoż puścił na tułaczkę; jak następnie ów bękart ojca nie tylko tronu ale i wzroku pozbawił i zmusił go żyć o żebranym chlebie, aż nakoniec prawy syn tułacz, któremu szczęście uśmiechać się zaczęło, dowiedziawszy się o ojca losie, porzucił wszystko, by mu być podporą, ten przyznać musi, że epizod Szekspira nie dosięga tu swego źródła.

Sidła bowiem i matnie, które bękart Edmund ojcu i bratu nastawia, są tak przezroczyste i tak niezgrabnie położone, a z drugiej strony ofiary podstępu tego niecnego do tego stopnia dobrowolnie idą na lep, że niedolę swą po większej części sobie przypisać winni; ani też zważając na owe czasy tak bardzo się oburzać można, jeżeli *Edmund* sięga po owoce swej zdrady, które same chylą się do niego.

Mianowicie trudno zrozumieć *Edgara*, który w akcie ostatnim tak mężnie i rycersko występuje, a całkowicie jest biernym, gdy idzie o zdarcie maski z obłudnika i oszczercy, i wykazanie niewinności swojej. Nie dość na tem, każe mu autor odgrywać rolę żebraka, na pół idjoty, który wierzy, że go czart opętał, rolę najnudniejszą i najniesmaczniejszą jaka się kiedy na scenie pojawiła. Pomysł ów można tylko tem tłumaczyć, że Szekspir, który nie cofał się przed żadnym eksperymentem scenicznym, zamierzał wprowadzić na deski konterfekt mieszkańca Bedlamu t. j. domu obłąkanych w Londynie, których wielu błąkało się po ulicach stolicy, a przytem wystawić na śmiech demonologją tak natenczas w modzie będącą.

W *Arkadji* syn, który pospiesza służyć za podporę ociemniałemu ojcu, daje mu się natychmiast poznać. Jest to zarazem ulgą dla starca, i nieustannym wyrzutem sumienia dla niego, który takiego syna się wyrzekł. W dramacie przeciwnie ociemniałemu ojcu na myśl nie przychodzi, że towarzyszem jego jest syn, gdy ten do niego rozsądnie przemówił. Jest to nieprawdopodobnem, bo gdzie brak jednego zmysłu, tem czujniejsze są pozostałe.

Najmniej udałą jest scena (6ta 4go aktu), gdzie Gloster w zamiarze samobójstwa chce rzucić się do morza. W *romansie* król opowiada, że nosił się z tą myślą, lecz syn nie dał mu jej wykonać. W *dramacie* prowadzi Edgar syna na płaszczyznę i wmawia w niego, że to jest urwiskiem skały kredowej. A gdy Gloster, chcąc rzucić się w morze, pada na suchej równinie, Edgar mu tłumaczy, że to czart go wyprowadził na skałę, z której skoczył, ale bogowie utrzymali go przy życiu. A przecież Gloster jest przy zdrowych zmysłach. Do tego cała ta skoczna scena nie ma spójni z główną akcją, przeto jest całkowicie zbyteczną. Całemu owemu epizodowi zaś można i to zarzucić, że odwraca na swoją korzyść współudział widza od głównej akcji, która się koncentruje w osobie króla Leara. Sroga bowiem kara, która dotyka hr. Gloster, za poświęcenie się w sprawie pana swego, niewdzięczność jednego syna, ofiarność drugiego, wszystko to ma więcej tragicznego żywiołu i więcej zająć może, niż domowe kłótnie córek z ojcem o ilość sług, które temuż trzymać wolno. *Takie* są osobistości, które dobre żywioły w dramacie przedstawiają.

Że główną osobistość, która temuż nadała nazwę, do dobrych żywiołów zaliczyć niepodobna, pomimo że, dzięki komentatorom, uchodzi powszechnie za męczennika i ofiarę dobrotliwości swojej, następujące uwagi może to uwidocznią.

II.

Tragedję „Król Lear" zowią tragedją niewdzięczności, „*Die Tragödie des Undankes*": zdaje się niesłusznie. Wdzięczność i niewdzięczność wynikiem są ofiar dla kogoś poniesionych, lub dobrodziejstw mu wyrządzonych.

Jeżeli zaś niewdzięczność ma być przedmiotem tragedji, natenczas ofiara poniesiona musi być wielką, dobrodziejstwa wyrządzone znakomite, a ten, który z nich korzystał, a teraz je zapoznaje, musi albo nie mieć, albo stosunkowo mało mieć do nich prawa.

Córki króla Leara były prawymi dziedzicami tronu Brytanji.

Gdy więc ojciec, czując się już w latach, postanowił zrzec się tronu na ich rzecz, darzył ich tem tylko, co i tak posiąść miały. Nie warował sobie wprawdzie ani osobnej rezydencji, ani dotacji, ni innych praw majestatycznych, ale były to tylko pozory. Postanowił bowiem z licznym i jemu wyłącznie podwładnym dworem kolejno w dzielnicach córek rezydować. Przy despotycznych nawykach jego tyranji na córkach dotąd wywieranej i której zrzec się dla starca niepodobna, on by bezwątpienia nadal w Brytanji panował, albo raczej, dążąc do tego, wszelkie rządy uniemożliwiał. Co córki wobec takiego postanowienia czeka, odgadła natychmiast najstarsza, Goneril. „Patrz, mówi do siostry, jak brutalnie i po głupiemu ojciec Kordelję, ulubione swe dziecko, odepchnął. Zawsze był popędliwym, ale z wiekiem wszystkie wady jego większe przybiorą rozmiary. Jeżeli zechce na tej drodze powagę swą utrzymać, ustąpienie jego z tronu może się stać dla nas nieszczęściem." (Akt 1szy, scena 1sza.) Ofiary więc i daru nie było z króla strony. Postępek córek starszych względem ojca był niecnym i srogim, a względem stronników jego nawet okrutnym, ale o niewdzięczności, któraby wkraczała w dziedzinę tragedji, mowy być nie może.

Scena pierwsza dramatu, w której odbywa się akt abdykacji, surowo została osądzoną przez krytyków pierwszorzędnych. *Goethe* nie wahał się nazwać ją grubą niedorzecznością *(eine Absurdität)*. *Ruemelin* wydrwił ją nielitościwie. Trzymając się dosłownie osnowy tej sceny, należy przyznać słuszność krytykom. Cóż może być więcej niedorzecznem, jak kiedy sędziwy król, na uroczystem posiedzeniu, składa koronę, oświadcza córkom oraz dziedziczkom państwa, z których dwie są zamężne, a trzecia blisko tego, że najlepszą dzielnicę dla tej przeznacza, która go mową swą przekona, że go najwięcej kocha. Lecz jak już o tem przy charakteryzowaniu Kordelji wzmiankowano, był to żart tylko zdziecinniałego starca, na którym dwie starsze córki zaraz poznały się i który Szekspir, co mu przyznać trzeba, o tyle umotywował, iż król pierwej już najlepszą dzielnicę dla Kordelji przeznaczył. Chciał to więc usprawiedliwić, sądząc z pozorem słuszności, że ona lepiej od sióstr warunkowi powyższemu odpowie. „Cóż możesz, mówi, mnie powiedzieć, abyś lepszą dzielnicę od sióstr otrzymała?" Nie można też Szekspira wyłącznie obwiniać. bo on całą tę scenę przejął z kroniki Halmsheda i z dramatu tej samej treści za jego czasów przedstawianego. Przeciwnie, podziwiać należy, co on zrobił z tej sceny, która pod inną ręką cały dramat na niechybne fiasko by wystawiła. Majestatyczna flegma Kordelji obok wzmagającego się gniewu ojca, targi o posag księcia Burgundji obok szlachetności króla Francji, a przedewszystkiem mężne wystąpienie hr. Kent, stanowią bardzo piękną ekspozycję. Ta scena i pod innym względem jest bardzo ważną. Daje ona bowiem możność wejrzenia w otchłań tej duszy samolubnej, która znieść nie może najłagodniejszego oporu, gdyż w tem widzi uchybienie majestatowi swojemu, nieprzystępną jest wszelkim ludzkim uczuciom, a w dzieciach chce mieć niewolników nietylko woli ale i kaprysów i przywidzeń swoich.

Jakże ciężkiem było jarzmo, które na córki nałożył, a jakąż trwogę w nich wzbudzał, jeżeli nie poznał się na takich potworach, jak owe Goneril i Regan, i ufając w ich przywiązanie, oddał się im bezwarunkowo w gościnę i opiekę. Pierwsza jego rozmowa z Kordelją pouczającą jest w tym względzie; charakteryzuje przytem upor dziecinny Kordelji. Ojciec pyta się jej, co mu ma do powiedzenia

Kordelja. Nic.

Lear. Nic?

Kordelja. Nic.

Lear. Z niczego będzie nic: Kordeljo oświadcz się już raz.

Kordelja. Kocham ciebie, ojcze, jakem powinna. Ni mniej, ni więcej.

Lear (który pewnie po raz pierwszy napotkał na opór). Kordeljo, nie przemawiaj do mnie tak, bo tem szkodzisz sobie.

Kordelja. Winnam wam życie i wychowanie. Odwzajemniam się czcią, posłuszeństwem i miłością. Cóż siostrom moim po mężach, jeżeli, jak twierdzą, ojca tylko kochają?

Lear. Tak młoda, a już tak nieczuła.

Kordelja. Tak młoda, a tak prawdomówna.

A te słowa, którym przyklasnął by każdy ojciec z dumą i radością, bo przecież prawda początkiem wszelkiej cnoty, a kłamstwo korzeniem wszelkiego złego, w królu wściekły gniew wzbudzają do tego stopnia, że odpowiada:

„Niechże prawda będzie posagiem twoim. W obec nieba i piekła wyzywam się z wszelkich uczuć ojcowskich ku tobie. Srogi Scyta i ten,

który się żywi mięsem własnych dzieci, więcej na wsparcie moje liczyć mogą, niż ty, któraś mi niegdyś córką była“ itd. itd.

A gdy najwierniejszy ze sług, hr. Kent, stara się go ułagodzić, zostaje skazanym na wygnanie.

Za srogiem tem córki niewinnej przekleństwem w tropy szła kara, ale dotknęła tego, który ją wyrzekł. Mówiono wyżej, jak Gonerill i Regan po tej przygodzie siostry odgadły natychmiast, co je czeka. W tej rozmowie tkwiła w zarodku zguba Leara. Ale pierwsza zaczepka od niego wyszła. Można wierzyć ślepo słowom Gonerilli (akt 1szy scena 3cia), że w dzień i w nocy ojciec jej dokucza, dwór jej niepokoi, dla każdego drobiazgu gniewem unosi się. Gdy sługa jej, Oswald, na zapytanie króla, czy on wie kto on jest, odpowiada: „ojcem pani mojej“, król mu zadaje plagi i lży go przytem najdotkliwszemi słowy. Trefnisiowi swemu grozi chłostą, gdy ten daje mu do zrozumienia, że głupstwo popełnił, ale milczy, gdy ten w sposób grubiański wita wchodzącą Gonerill, panią domu i monarchinią w dzielnicy swojej. (Scena 4ta akt 1szy.)

Niepohamowana duma jego, nieudolność stosowania się do położenia, które było wynikiem jego woli, wychodzą na jaw w całej sile, w chwili gdzie Gonerill w sposób, jak na nią bardzo umiarkowany, wylicza mu swoje zażalenia i prosi, by pofolgował w narowach. „Kto jesteś, mówi, piękna damo, czy może moją córką? A mnie kto tu zna? Czy ja jestem Learem? Kto może orzec kto jestem?“ Gdy zaś Gonerill na niego nalega, by oddalił połowę sług swoich, natenczas rzuca przekleństwo na drugą już córkę, ale srozsze daleko od pierwszego.

Wzywa przyrodzenie, by została niepłodną, a jeżeli ma mieć dziecko, niech będzie dzieckiem zatracenia, na udręczenie matki, płodem poronionym, niech łzami orze jej lice, zmarszczkami czoło jej pokrywa, a szyderstwem i urąganiem wynagrodzi macierzyńskie troski i cierpienia; niech oddycha czad zatruty, a umiera na morową zarazę. Przekleństwo ojcowskie niech wdraży się w jej zmysły i zada jej nieuleczalne rany.

Jaka srogość i przewrotność mieściły się w duszy Gonerilli, tego król nawet nie przeczuwał.

Inaczej, powtarzamy, nie byłby się na jej łaskę i opiekę zdał. Nie domyśliwał się równie w zaślepieniu swojem, że ona teraz pozbyć się go chciała. Miał więc przed sobą córkę zamężną, przeto mu już niepodległą, panującą nad połową Brytanji, i która go stanowczo, ale w sposób bardzo przyzwoity, prosi, aby dla utrzymania na dworze jej karności i ładu, ze sług swoich połowę rozpuścił.

Ale ojciec, który na takie żądanie takiem przekleństwem odpowiada, o włos lepszym nie jest od niecnych i srogich córek swoich. Pod względem artyzmu można by i to zarzucić, że gwałtowność przekleństwa tego nie dopuszcza już stopniowania, a przecież jest to dopiero początek niesnasków i prób, które czekały Leara. Bo on po takiem zajściu ze starszą córką udaje się do drugiej, kochanej i kochającej go, jak mówi, Regany, w przekonaniu, że ta wydrapie oczy siostrze, gdy opowie jej, jak z nim się obeszła. Po drodze wstępuje do zamku wiernego lennika, hr. Gloster; lecz pierwszy, którego tam zoczył, był to hr. Kent, wysłany, aby Reganę o przybyciu ojca uwiadomił, ale który tu osadzonym został w dybach na rozkaz tejże Regany. Dowiaduje się przytem, że Regana zjechała na gościnę do hr. Gloster, nie chcąc u siebie przyjmować ojca. (Akt 2gi scena 4ta.) — W tej scenie właściwie dramat dochodzi pełni rozwoju swojego. Dumnemu starcowi łuska zaczyna z oczów opadać, ale on usiłuje do ostatka przeczyć narzucającej mu się rzeczywistości. „Nie, na Jowisza przysięgam, nie mogli, nie powinni, nie chcieli z moim sługą tak postąpić.“ — Chce widzieć córkę, a gdy ta wymawia się słabością, mówi, że to wybieg, zdrada, bunt, aż nakoniec upada na siłach i wymyka mu się złowrogie dla niego zeznanie: „jestem bezwładnym“. Wita więc wchodzącą Reganę, gdy ta hr. Kent na wolność puścić każe, czule i uprzejmie, o ile Lear czułym i uprzejmym być może. „Gdybyś, mówi, nie była mi radą, wziąłbym rozwód z twoją w grobie już leżącą matką, oskarżając ją o cudzołóstwo.“ Ale przecież z widocznym niepokojem twierdzi, że nie wątpi, iż ona będzie pomną obowiązków względem ojca, niegłuchą na głos natury. Przytem nieomieszkał rzucić gradu klątw na nieobecną Gonerill.

W tem wszystkiem zaś nie szło mu o serce córek i o doznany w tym względzie zawód.

Szło mu o władzę, lub bodaj cień onej.

Polega na Reganie, że mu nie zmniejszy liczby sług jego, ale gdy mu taż oświadcza, że nad dwadzieścia i pięć do domu swego przyjąć nie może, zwraca się on do wyklętej tyle razy Gonerill, która do siostry przybyła w odwiedziny i *chce gościć napowrót u niej!* bo ona mu sług pięćdziesiąt zostawić chciała, a „pięćdziesiąt, mówi, dwa razy dwadzieścia i pięć“. A chwila temu radziła mu Regana, aby wrócił na miesiąc ten do Gonerilli, lecz on odpowiedział: „prędzej niż pod jej dach, udam się o jałmużnę do króla Francji!!“

Ni śladu poznania, że on jest głównym sprawcą niedoli swojej. Przeciwnie, marzy, że obejmie dawne stanowisko, a natenczas srożej niż kiedy władać berłem będzie. „Czekajcie, mówi do córek, pokażę się wam znowu w dawnej postaci, a natenczas pomszczę się tak na was, że z przerażenia ziemia się zatrzęsie.“

O Kordelji zaś, którą tak srogo odepchnął, jedno tylko przy pierwszem zajściu z Goneril (akt pierwszy, scena 4ta) i to mdłe wspomnienie. „O jakże małe mówi było w obec tego przewinienie Kordelji, które mnie przecie całkiem rozstroiło“.

Nakoniec córki znużone temi swarami i targiem stanowczo oświadczają ojcu, że bez własnych sług obejść się może, gdyż cały dwór ich na rozkazy mu stoi. Lear odrzeka na to w sposób dobitnie świadczący, że *natenczas* nie miał pomięszania zmysłów, które wielu krytyków wmusić w niego chcą.

„O! nie mówcie o tem, czem człowiek wystarczyć może. Ostatni żebrak ma zawsze coś co zbytkiem nazwać można. Dajcie każdemu ile mu do życia potrzeba, a żywot jego będzie natenczas stał na równi ze życiem zwierzęcia.

„Ale co jest ubóstwem rzeczywistem, dajcie bogowie cierpliwości do zniesienia tego. Łez zaś rozlewać nie będę. Niech to serce w stotysięcy odłamów rozpadnie się zanim raz zapłaczę“. I srogą groźbą pożegnawszy córki, udaje się w największem oburzeniu wśród nocnej burzy na pustynię w pobliżu zamku. Hufiec stu ludzi, który sobie wymówił, nietknięty stał przed wrotami, i bardzo niepokoił Reganę. Mógł więc król z taką osłoną udać się do sąsiedniego jakiego lennika, tam powołać wiernych swoich i odwołać abdykację tronu. Tak postąpił król Lear w kronice Halmsheda i tak w dramacie, który poprzedził sztukę Szekspira.

Zawiązuje się przecież w obronie jego spisek wielce w kraju rozgałęziony a we Francji wyprawa (akt trzeci, scena 1sza i 3cia.)

Pomimo to, każe nasz poeta królowi wśród nocy błąkać się po zaroślach i debrach, wyrywać sobie włosy, rozhukanym żywiołom skarżyć się na córki, a potem znowu posądzać je o porozumienie z córkami. Wzywa wicher aby ziemię do morza wrzucił, a fale morskie aby zalały świat cały etc. etc. (akt 3ci, scena 1sza). A wszystko z powodu, że złe córki, ale jakie sobie wychował, nie przystały na to aby dwór jego był u nich w gościnie. Ale i to błąkanie się pod gołem niebem trwa tylko kilka godzin. Hrabiowie Kent i Gloster, i rycerz niewymieniony po nazwisku, mają ciągłą nad nim baczność, i prowadzą go do sąsiedniej zamkowi zagrody jednego dzierżawcy, a potem do Dower, gdzie go czekała Kordelia. (akt 3ci, scena 6sta).

A więc godzin kilka spędzonych na pustyni około zamku, przy konstytucji olbrzymiej, która cechowała ludzi w epokach barbarzyńskich, w otoczeniu wiernych sług, niektórzy krytycy nie wahają się stawiać na równi *z męczeństwem Prometeusza* przykutego do skały.

Wprawdzie należy obliczyć się z cierpieniami duszy które były wielkie, ale te nie pochodziły ze źródła czystego, z gorzkiego zawodu doznanego ze strony dzieci, które kochał, bo miłość ojcowska obcą mu była, ale pochodziły z dumy ciężko dotkniętej, ze żądzy wszechwładztwa i z zaślepienia po części dziecinnego, po części karygodnego, przeto tragicznego współczucia wzbudzić nie mogą. Sprowadzają zaś chwilowe obłąkanie jak n. p. w scenie (6tej, 3go aktu), gdzie stawia córki przed sąd i (szóstej 4go aktu). *Chwilowe* mówię, bo często znowu wychodzi na jaw coś, co jak skrucha wygląda.

Tak (akt 3ci, scena 4ta) gdy wchodzi do chaty, którą burza lada chwila obali, bez okien i jakiego bądź opatrzenia; wszędzie naga nędza. „O! mówi, ja o tem nie myślałem za dobrych czasów. Trzeba dopiero cierpieć jak ubodzy cierpią, by im potem z naszego zbytku coś udzielić, i bogów przebłagać“. Dalej, gdy przybywa do Dower i pomnąc jak ciężko w obec Kordelji przemówił, wstydzi się stanąć przed jej obliczem. Nakoniec gdy po długim śnie przebudza się i widzi Kordelję obok siebie, słowa jego: „bądź dla mnie pobłażliwą, puść w niepamięć przeszłość, przebacz, ja jestem tak starym i zdziecinniałym (akt 4ty scena 3cia i 7a.)

Za to rozmowa Leara z Kordelią w więzieniu (akt 5ty scena 3cia) wrażenia łagodzącego nie sprawia. Tu idyliczne usposobienie króla, stanowi kontrast zbyt krzyczący z poprzedniemi wybuchami zemsty, nienawiści krwiożerczej, i z nieustannemi przekleństwami. Śmierć nagła króla, która kończy sztukę, nie jest dramatycznie umotywowaną; a z wycieńczenia sił żywotnych pochodzić nie może, bo miał ich dostatecznie by zabić mordercę Kordelji.

Co się tyczy dalszych przedstawicieli złych żywiołów ludzkości w tym dramacie, to *Gonerill* i *Regana* byłyby na swoim miejscu w epopei jakiej średniowiecznej północnych krain, jak np. „Nibelungi," gdyby miały bodaj iskrę owej wielkości, która niezaprzeczenie charakteryzuje postacie Brunhildy, Krymhildy i tym podobnych. Tak zaś nie jest. One są nadto zawikłane w familijne i domowe swary. Są to kłótliwe, niecne, srogie *gospodynie* ale nic więcej. Nemiętność obydwóch do bękarta Edmunda, wychodzi na jaw dopiero przy końcu i wieje z niej zimno-lodowate.

Edmund, biorąc na uwagę zbrodnie jego i czasy, w których żył, za lekko jest szkicowanym. Ostatnie słowa jego gdy już konał: „Edmund był kochanym. Siostra zatruła siostrę bo obie kochały się we mnie a następnie mieczem się przebiła."

„Chciałbym przecie coś dobrego zrobić, chociaż natura moja temu sprzeciwia się" te słowa nie na swojem miejscu w ustach zaciekłego i podłego zbrodniarza: prędzej objawia się w nich cyniczny i zarozumiały rozpustnik.

Kończymy to studjum uwagą, że ze wszystkich wielkich dramatów Szekspira, król Lear obecnie najmniej kwalifikuje się do przedstawień na scenie. Wyłupianie oczów, osadzanie w dyby na scenie, stanowczo potępione zostały nawet przez wielbicieli Szekspira. Ale prócz tego obrzydliwa kłótnia domowa w pierwszych dwóch aktach, a potem formalna nawała gorączkowego obłąkania, pomieszania zmysłów, głupkowatości udanej, opętania przez złego ducha, nie tragiczne, ale męczące w najwyższym stopniu wrażenie wywiera.

Rola główna mogłaby tylko w tym razie wzbudzić zajęcie i ustalić sławę artysty ją odgrywającego, gdyby był umysłowo i fizycznie w tym stopniu uposażonym, aby mógł majestat królewski (gdzie jak mówi Lear, każdy cal królem), a obok tego zdziecinniałość przedstawić, toż samo kaprysy, tyranię, obrażoną dumę, stopniowe rozczarowanie, długi szereg przekleństw sroższych jedne od drugich, nakoniec warjację i umysłowe przebudzenie i to wszystko w olbrzymich rozmiarach uwydatnić. Obecne czasy nie płodzą już takich olbrzymów. Lear na dzisiejszej scenie schodzi na postać starego gderacza, który zaledwie politowanie i chwilowo odrazę, ale najczęściej wielkie nudy wzbudza.

OBRAZEK Z PODRÓŻY PO TUNISIE.

Minęło już dni kilkanaście od chwili mego przybycia do stolicy beja. Większą cześć dnia przepędzałem na ulicy, pędząc po różnych zakątkach miasta, czy też przypatrując się życiu jego mieszkańców. Mimo to jednak wracałem do domu z równym materjałem do podziwu i rozmyślań. Na każdym bowiem kroku spotyka się tutaj coś nowego, a więc ciekawego. Dziwne państwo! Konstytucja żyje tu w zgodzie z biciem w pięty, panujący mahometanizm z najzupełniejszem równouprawnieniem religji i stanów. A wszystko to tak jakoś odrębne, a dziwne! konstytucja, oparta na despotyzmie beja, a wolność osobista na łasce jego kaprysów!

Cywilizacja nie zatrzymała się tu dla nich w biegu. Jeżeli przeleciała ona jednak przez Tunis, to dodajmy, że musnęła go tylko po wierzchu. Blichtr tedy naszego stulecia pokrywa sobą wnętrze średniowiecznych zaczątków!

A owo obumarłe życie społeczne, a drgające raczej tylko w „sukach", owych bazarach o drobnych sklepikach, a iście wschodnich bogactwach! A sam Tunis — toć to cud z cudów!

Nie ma może miasta, któreby liczyło tyle ciemnych zaułków, tyle brudów, ile stolica beja. Pod sklepieniami domów przechodzi się często całe ulice, ciemne jak wieczność i jak ona trudne do przebycia! Ludzie powinni się tu zabijać czy też otruwać otaczającą atmosferą, a jednak poczciwy Allah z jaką cierpliwością broni ich od mordów i zarazy. Tak „biały" Tunis przypomina pewne kobiety, czarujące zdala swemi wdziękami, a odstręczające zbliska zmarszczkami i zwiędłym uśmiechem. Ten „kwiatek wschodu", jak go nazywają Arabowie, rozbryzguje się bowiem zbliska na tysiące drobnych ulic i zaułków, które wyrzucają ze siebie straszny kurz lub jeszcze straszniejsze błoto. Domy pochylają się od starości, a wązkie ulice, a raczej przejścia, krzyżują się wybiegającemi ku sobie fundamentami domów. Tunis zresztą — jak wszystkie miasta wschodu — uosabia dobitnie i samo życie jego ludów, nęcące zdala wszystkiemi powabami rozkoszy, a odpychające zbliska smutną rzeczywistością.

Takim jest może Tunis z punktu hygieny czy ekonomji politycznej...

Ale cóż z tego — mówi jeden z bohaterów Dekameronu — że na dnie puharu mieści się trucizna, kiedy napój słodki. Wesołości tedy, szeptałem sobie — tem bardziej — że sięgasz tylko po wierzch czary. I umysł mój, nie gnębiony ciężarami smutku, przejrzał nagle całe piękno otoczenia!

Wieczór był pogodny, jak namiętnościami niezamącone życie. Promienie księżyca kąpały w swym blasku szczyty meczetów, opromieniały swem światłem brudne domy i biegły ukryć się w gęstych konarach palm, zapełniających bulwary Sidi-Bou-Mendil...

Zamięszany między tłumy, używałem wieczornego spaceru. Wokół mnie setki wyelegantowanych Arabów, zawoalowane Maurytanki, Maltańczycy, Żydzi, Włosi, Francuzi... Od czasu do czasu przejeżdżają majestatycznie przez plac marynarki Arabowie pustyni na swych ogromnych wielbłądach. Tłumy rozstępują sie tedy, falują w różne strony, by po chwili znaleźć się znów na opuszczonem stanowisku. Zdala słabe dobiegają okrzyki z *suków*, słychać rżenie koni, i rozdzierające ryczenia dromaderów. Zwykle słabe promienie latarni, dzisiaj, wobec księżycowego światła, zblakły, zda się, zupełnie.

Otoczenie miało w sobie coś fantastycznego!

Oto Maurytanki przesuwają się w swych białych lub ciemnych *sassari* (okryciach). Lekko uchylają je, pozwalają widzieć błyszczące djabadole i spadające do kostek serrualy. Wtedy także ukazują się nagie łydki, zamknięte w błyszczących złotemi arabeskami trzewiczkach. A kiedy od czasu do czasu zdradziecka ręka odsuwa gęste woale, ukazując parę przepaścistych czarnych oczu, wtedy drżyj śmiertelniku! Jeżeli nie zabije cię namiętny żar jej spojrzeń, gotów to zrobić jej mąż lub kochanek, szpiegujący w ukryciu ruchy swego ideału...

Ale i bogatsi Arabowie wylegli na spacer wieczorny. Oto ten o bladej twarzy, pieszczonych rękach a omdlałem spojrzeniu — odpoczywa po bezsenności dnia całego. To lowelas tunetański — syn jednego z bogatszych kupców. Jedwabny turban okrywa bujne kędziory jego włosów, a kaszmirowa kamizelka wygląda z po za pasa oślepiającej białości burnusu. Jego pas obejmuje ta'ię godną córy Albionu. Błyszczące złotem i jedwabiem jego kutasy owinął około swych rąk i rzuca na przechodzące kobiety zadowolonym wzrokiem...

Ale ubiór tak mężczyzn jakoteż i kobiet tunetańskich różni się zwykle tylko bogactwem a nie formą, która pozostała niemal wieczną. Dzieci wschodu nie znają więzów mody. Ubiór jest pod opieką religji, jak i ich zwyczaje.

— Co macie nam do zarzucenia — spytałem raz Araba...

Nie myjecie się (obrzędy), nie suszycie, nie uznajecie Mahometa, jadacie wieprzowinę, upijacie się jak zwierzęta i nosicie suknie, jakichby sam Mahomet nie śmiał włożyć...

Ale bohaterkami na placu marynarki są żydówki, które w niczem nie ustępują swojej sławie. Ku nim skierowują się gorące spojrzenia przechodzących Arabów i zazdrosne zawoalowanych Maurytanek. Niektóre z nich noszą kapelusze, przypominające okrycia do główek cukru, haftowane złotem szerokie pantalony, ściśnięte u spodu jedwabnemi paseczkami i lśniące perłami pantolelki. Inne porzuciły już ten strój barbarzyński, przywdziawszy lekkie kapelusiki lub też chachia — i ścięte w pasie sukienki. Ale wszystkie są równie piękne. Wielkie czarne oczy, świecące z po za okazałych łuków gęstych i czarnych brwi, rzucają jakiś cień tajemniczy na całą twarz, powleczoną śniadą bladością. Nozdrza lekko rozdęte zdradzają siedlisko namiętności, a z po za rzeźbionych zakątków ust wygląda zawsze jakiś zdradziecki, a raczej wyzywający uśmiech, cechujący zarazem i pewność zwycięztwa. Toczona szyja łączy zwykle te czarujące główki z wydatnym i zaokrąglonym harmonijnie, jak u Marsyljanek, torsem. Starsze jednak kobiety przypominają za bardzo rubensowskie bachantki. Masy ciała, których suknie nie mogą utrzymać w karbach, falują niby morze podczas przypływu. Ale to właśnie zachwyca Arabów. Lubią oni ogrom, poczynając od wspaniałej dify (uczty), a kończąc na otyłych kobietach.

— Bo wiotka kobieta — mówi Sidi Abd-el-Kader — to niby duch, którą wiatr za sobą porwać może, ale ta, której łono faliste, żyć będzie na chwałę swego pana. Myśl wietrzna jej nie porwie, bo nosi ona na sobie wybitne piętno łaski proroka...*)

To też owa piękność pełnych Żydówek stanowi wieczną zagadkę dla wierzących umysłów.

Znałem jednego arabskiego metafizyka w Algierze, który długo zajmował się rozwiązy-

---

*) Zresztą troskliwy o swych wiernych prorok — dał im roślinę tabel, której gotowane liście są wybornym środkiem dla zyskania idealnej otyłości. Odkarmiają niemi zwykle młode dziewczęta na chwałę proroka i ich przyszłych mężów. O skuteczności tabelu zapewniali mnie nietylko Arabowie, ale i jedna z przebywających w Tunisie Angielek, która z zachwycającą szczerością przyznała mi się, że spożywała tabel nb. tylko «for the sake of science«.

waniem ciekawego pytania, dlaczego Mahomet dał tak piękne kobiety Żydom.

Biedaczysko nie mógł dojść do ładu, gdyż losy skazały go na męki europejskich ideologów. Myśl przynosiła mu codziennie nowe odpowiedzi na jego pytania...

Tuż przy Żydówkach kroczą niemniej piękni Żydzi. Wyrodzili się tu oni pod względem fizycznym od swych europejskich współbraci. Zwykle bardzo wysokiego wzrostu — o rysach regularnych — przypominają raczej przystojnych Włochów, niż Żydów. Dziwne, że mimo ogromnej nędzy, w jakiej są tutaj pogrążeni — mają w swej postawie coś niezmiernie szlachetnego, czemu może po części i zawdzięczają sympatję przebywających tutaj Europejczyków. Ubierają się zupełnie jak Arabowie, z tą tylko różnicą, że zamiast turbanów, noszą — wzorem dygnitarzy — czerwone czapeczki. To jedyny użytek, jaki zrobili dotychczas z konstytucji...

Ale otóż i noc późna się robi a Ben- Zerkrego ani widać. Poczynało mnie to nieco niepokoić i smucić zarazem. Ben-Zerkri stał się bowiem moim niezbędnym towarzyszem. Przyobiecawszy mi za 5 franków dziennie swoją przyjaźń i usługi, dotrzymywał jak najuczciwiej swoje zobowiązania. Nietylko bowiem, że mnie oprowadzał po Tunisie, ale mnie nauczał...

Czego?

Filozofji życia...

Ben-Zerkri nie był bowiem wcale pospolitym Arabem. Umysł jego przeszczepiony na grunt europejski zaćmiłby może kiedyś De Maistra — tutaj wegetował on najspokojniej. Miał on zresztą i to wspólne z obrońcą inkwizycji, że jak on gotów byłby pisać apologie na cześć błota — jeżeliby wykwitło na jego gruncie. Był to słowem typ genjalnego konserwatysty!

Zresztą Ben-Zerkri i w Tunisie uchodzi jeżeli nie za całego, to przynajmniej za pół tolbasa (uczonego). Będzie bo temu z jakie lat 20, jak jakiś Szkot upodobał go sobie i powiózł do Europy. Przejechał tedy Włochy, Francję, Anglję i po dwóch latach czcigodny lord powiózł go powrotnie do Tunisu. Pierwotne oznajomienie z europejskiemi językami uzupełnił później w Tunisie żyjąc z przybylcami, dziś tedy Ben-Zerkri jest pierwszym z przewodników (jest ich co prawda tylko dwóch!) po kraju.

Nieraz tedy spacerując po okolicach Tunisu, zapuszczaliśmy się w głębsze dyskusje. Wtedy Ben-Zerkri raczył mnie paradoksami, które miały w sobie coś wzniosłego.

— Słuchaj Sidi — mawiał mi Ben-Zerkri — porzuć wasz świat i osiądź między nami. Tu i opieka Mahometa cię będzie otaczać i bliżej ztąd do raju i zamiast waszego brudnego nieba — wieczne słońce pieścić cię będzie. Tam pracujesz — tu będziesz próżnował. Wolny niby ptak, będziesz chodził od kawiarni do kawiarni, będziesz zajadac *couscoussou* z baraniną i kochać kobiety...

— Tatuowane... *Fi donc!* — odpowiadałem mu na to...

— O europejczyku — mawiał wtedy Ben-Zerkri oburzony — ty który pewnie widzisz w swym kraju kobiety, które we trzy tyle ważą co u nas jedna, opętane przez złego ducha...

— Co ty mówisz — Ben-Zerkri.

— Czyżby inaczej okazywały nieuszanowanie mężom, wystawiały twarz na widok ludzi i nie używały kohelu ani henny...

— A wiesz dla czego nie robią tego, Ben-Zerkri. Bo próżność nie zabiła u nich cnoty i nie chcą zrobić swej piękności większą od tej jaką im dał Sidi-Mohammed...

Ben-Zerkri się zaśmiał ironicznie...

— A czy ty wiesz, zkąd pochodzi kohel. Kiedy Bóg pokazał się na Djebel-el-Thur (Sinai) wtedy chcąc upiększyć życie wiernym, przemienił całą górę w kohel. Oto, co mówi prorok:

Kiedy kokieta kohelem zabarwiła oczy a henną upiększyła ręce, kiedy oddech jej tchnie zapachem suaku, wtedy milszą się ona staje mym oczom, bo uprzyjemnia życie mężowi...

Bądź jak bądź, Ben-Zerkri jak wszyscy konserwatyści, robił dużo z miłości dla sztuki. Za pięciofrankówkę obiecał mi bowiem wydostać Amra-bej pozwolenie na zwiedzanie meczetów.

Ale otóż i Ben-Zerkri wraca rozpromieniony....

— Jeżeli nie uznasz dzisiaj wyższości Mahometa — krzyczał mi już zdala, — wtedy...

Biedny Zerkri nie chciał mnie obrazić przypuszczeniem, że w niego nigdy nie uwierzę, przerwał przeto nagle i rzekł mi tonem uroczystym:

— Pójdziemy zobaczyć Aissaua.

— Co to jest Aissaua? — spytałem wtedy.

— Aissaua — tu spojrzał na mnie Ben-Zerkri, zdając się mówić: — oto co znaczy twoja wiedza wobec naszej wiary, po chwili otarł z zimną krwią kurz z ławki, siedliśmy pod jednym z ogromnych aloesów, a wtedy Ben-Zerkri, powiedziawszy „Allah Bismillah“, tak rozpoczął swoje opowiadanie...

Będzie temu lat 300 jak w Maroko żył święty Aissa, otoczony wielką familją, a jeszcze większą nędzą. Mahomet zlitował się jednak nad nim i udarował bogactwami. Aissa jednak rozdawał wszystkie pieniądze, jakie mu posyłał prorok, wówiąc: po to mi je dano, bym je rozdawał. Wtedy Mahomet objawił mu się poraz ostatni, mówiąc:

— Oto modlitwa jaką odmawiać będziesz, a wierni koło ciebie zbierać się będą.

I nie przeszło kilku miesięcy, a dwustu wiernych odmawiało modlitwy Aissy i wysławiało cuda swego męża. Khuan (zakon) Aissy wzrastał nieustannie we wpływy i liczbę i zazdrosny sułtan Maroko-Moulai-Ismail zapragnął jego zguby.

Podczas święta Beiramu — kiedy wszyscy członkowie khuanu zebrali się pod progiem Sidi-Aissy, święty rzekł:

„Jeżeli wierzycie w Mahometa i w to, że ja jestem jego ulubieńcem, wtedy wejdziecie do mego domu, i zamiast baranów, zarżnę was na chwałę Jego“.

Wtedy połowa małodusznych uciekła, a druga połowa weszła. Za każdym razem, kiedy członek khuanu wszedł do domu Aissy strumień krwi wypływał z po za jego progów. Wieść doszła o tem do sułtana i posłał on swoich chauchów, by do lochów wtrącili Aissę, ale przyszedłszy zastali oni wszystkich członków khuanu, jak modlili się na chwałę proroka...

— A wtedy— przerwałem Zerkremu, — sułtan uwierzył w Aissę, postawiono mu marabut i odtąd...

— Nie— ciągnął spokojnie dalej Ben-Zerkri. — Mądrym bywa człowiek, ale Mahomet mądrzejszym bywa od wszystkich ludzi. Zły sułtan wygnał Sidi-Aissę, który ze swą rodziną i uczniami błąkał się odtąd po pustyni. A kiedy razu jednego zabrakło im pokarmów, Aissa rzekł:

Przynieście mi wężów i jadowite korzonki a spożyję je na chwałę Pana“...

A kiedy Sidi-Aissa zjadł truciznę, wtedy wszyscy poszli za przykładem jego. Wieść o tym cudzie przyszła do Maroko, wierni tłumnie opuszczali miasto i szli po błogosławieństwo do Aissy! Ale sułtan nie wierzył jeszcze w świętość Aissy, wtedy Aissa udał się do Maroko, obiecując zrobić największe cuda, by go przekonać. A sułtan wtedy rzekł:

— Aissa, kup odemnie moje państwo...

— Ponieważ Mahomet może to zrobić, przeto je kupię — odpowiedział święty.

I po chwili u stop sułtana było dziesięć razy więcej złota, niż on sam zapragnął. Ale Sidi-Aissa oddał mu powrotnie państwo, żądając tylko by podczas świąt Mulu (urodziny Mahometa,) przez siedm dni w mieście Meknes, tylko sami członkowie jego khuanu mogli pokazywać się na ulicy. I nie przeszło jeszcze dwóch urodzin proroka, a wszyscy mieszkańcy Meknes należeli do khuanu Aissy. Wtedy święty osiadł w Hameria, a kiedy go Mahomet powołał między huryski raju, wtedy postawiono mu wielki meczet, gdzie zbierali się odtąd Aissaua. Ale niewierzący sułtan — sądząc, że po śmierci Aissy łaska proroka odstąpiła od członków jego khuanu, zwołał ich wszystkich i postawiwszy przed nimi naczynie pełne wężów i trucizn rzekł:

— Jedzcie, a wtedy uwierzę w Sidi-Aissę...

Wtedy jedna z kobiet porwała jadowitego węża, a wszyscy poszli za nią...

Potomkowie owych Aissaua rozproszyli się po ziemi wiernych, spożywając dotychczas węże i trucizny na wieczną chwałę Mahometa i wiernego jego sługi Sidi-Aissy...

Zdarza się czasami, powiada Thackeray, że owe stereotypowe napisy na grobach: dobry chrześcijanin, dobry mąż i dobry przyjaciel, dostają się rzeczywiście dobremu mężowi, dobremu chrześcijaninowi, czy też człowiekowi, pogrążającemu swym zgonem przyjaciół w żalu, dlaczegoż by się nie miało zdarzyć, żeby choć jeden z miljona mahometańskich świętych dokonał jakiego cudu? Zresztą poczciwy Ben-Zerkri żył zawsze prawdą — jak przykazał Bóg i Mahomet prorok jego...

— I twoi Aissaua będą jedli wężów — spytałem tedy Ben-Zerkrego...

— Niewierny — mówił mi na to gorączkujący się już Arab — pójdź zobaczysz...

Ruszyliśmy przez szereg ciemnych i wązkich ulic do bramy Djama-bab-Dżezira. Czem bardziej oddalaliśmy się od środka miasta, tem wycia psów stawały się straszniejszemi. Biegną one wygłodzone w okolicy Tunisu, szukając strawy. Chwilami płaczliwe jak jęki szakali, znów przemieniały się w dziki jakiś szum i łoskot, zapowiadający toczącą się między nimi walkę o zdobycz. Z rewolwerem w ręku posuwałem się tedy za Ben-Zerkrim, który, sądząc po jego milczeniu, snać pogrążył się w głębokiej zadumie. Chwilami tylko odwracał się w moją stronę, a widząc zbyteczną zresztą broń w moich rękach, kiwał tylko głową potakująco, zdawał się mówić: „bądź ostrożnym, bo tylko przezornym pomaga Mahomet...“

Po upływie pół godziny znaleźliśmy się przed bramą meczetu. Wielkie sklepienie drzwi poprowadziły nas przez marmurowe wschody

na dziedziniec wyłożony różnemi fajansowemi deseniami. kilka kobiet stało opartych o ściany krzycząc przeraźliwie: you! you! Zobaczywszy Ben-Zerkrego, rzuciły na niego przenikliwe spojrzenia, ale on, poszeptawszy słów kilka, usiadł na ziemi, zdjął obuwie, poczem kazał mi iść za swym przykładem. Wtedy posunęliśmy się ku drzwiom przeciwległym i znaleźliśmy się nagle we wnętrzu meczetu...

Czterech mokademów siedziało na dywanie, a przed każdym z nich gorzały dwie świece. Tuż w pobliżu grono Aissaua uderzało w bębny, a inni znów wywodzili jakieś dzikie tony z fanfany (róg) i tassy namuny. Po pokoju biegało kilku na pół nagich Aissaua, naśladując ruchy różnych zwierząt. W drugim końcu meczetu około dwudziestu Aissaua, trzymając się za ręce, wyło przeraźliwie, naśladując ryki lwa i hyen. Chwilami wylatywało z nich kilku na środek, w szalonych podskokach otaczali mokademów, którzy swe ręce prowadzili im po czołach. Działało to snać na nich uspokajająco, gdyż wolno dochodzili potem do gromady. Po chwili jednak krzyczeli jeszcze przeraźliwiej, a wrzaski ich, przeplatane dzikiemi dźwiękami muzyki, miały w sobie coś piekielnego.

Była to słowem jakaś orgja wiary czy szał zmysłów!

Haszysz, jaki zwykle palą Aissaua przed obrzędem, snać coraz bardziej ich rozpłomieniał, gdyż okrzyki wzrastały nieustannie, a kiedy jeden z zakonu przyniósł w naczyniu kawały krwawiącego się mięsa, obecni rzucili się na nie ze zwierzęcą chciwością. Krew zbroczyła wtedy ich twarze...

Kolej przyszła na kawałki szkła, które zgrzytały im z zębach, później znów ze skórzanych toreb wyjmowali węże, które pełzały im do ust. Jedni trzymali je tam czas jakiś, wyrzucając potem kawałki, inni znów z gorączkowym jakimś szałem rzucali się do *mihrabu**), i tam padali prawie bez czucia. Chwilami wychodziły z tamtąd ochrypłe okrzyki: Allah Bismillah, poczem znać znużenie przemogło, gdyż zapanowało zupełne milczenie

Podczas tego w kadzielnicy palą się różne esencje kwiatowe. Upajający jakiś zapach rozchodzi się po meczecie. Wierni wsiąkają go chciwie, co też robi wzruszony i zachwycony Ben Zerkri...

Zapomniał on już dawno o mnie, i cały wpatrzony w mokademów, śledził bieg ceremonji. Gorąco uderza mi gwałtownie do głowy, a mocny zapach odurza. Daremnie przyciskam czoło do zimnego marmuru osłaniającej mnie kolumny, nakoniec, jakby instynktem powodowany wysunąłem się cicho z meczetu i usiadłem na schodkach...

Księżyc znikł już dawno z widowni, a światło poranku oblało w morzu swych bladych promieni biały Tunis, kiedy ukazał się przedemną Ben-Zerkri.

— I cóż — spytał on nagle, a oczy jego świeciły jeszcze resztkami religijnego zapału..

— Chodźmy do domu — odpowiedziałem mu na to, uspokojony chłodem nocy...

Dziwne to serce ludzkie! Arab spojrzał na mnie gniewnie, a przecież gdybym mu powiedział w tej chwili „ponieś mnie na barkach“ zamiast „chodźmy“, byłby mnie zapewne uszczęśliwiony poniósł na chwałę Mahometa i Sidi-Aissy, wiernego sługi jego...

J. F.

Nisza zdobna arabeskami, podtrzymywana przez cztery kolumny, gdzie zwykle modli się iman, zwracając się ku wschodowi.

Z niedrukowanych poezyj
WŁADYSŁAWA SYROKOMLI.

Smutno, tęskno, braknie siły,
Z oka ciśnie łza —
Ciężką troskę, do mogiły
Czyż dowlokę ja?

Czas odprawę dać niedoli,
Kości złożyć w grób —
Martwe serce już nie boli,
Nie lęka się prób.

Długoż jeszcze znosić znoje?
Och! spocząłbym ja!...
Wkrótce spoczniem my oboje:
Ja i boleść ma.

Na popasie 1857.

DZIWNE KARJERY
POWIEŚĆ
Jana Lama.

TOM II.

(Ciąg dalszy.)

Stanisławowi nie potrzeba było cudzych trosk i kłopotów, ażeby mu świat wydawał się coraz posępniejszym. Zaledwie przebolał był gorzkie rozczarowanie, na które naraził go stosunek z panną Kluszczyńską, gdy jakaś nowa choroba sercowa zaczęła go owładać, chociaż opierał się jej z całej siły i usiłował stłumić ją wszelkimi sposobami. Są ludzie, którzy mniemają, że można np. oprzeć się febrze zimnej, nie zwracając na nią uwagi i perswadując sobie, że człowiekowi nic nie brakuje, a w niczem nie zmieniając trybu życia. Naturalniejszem jeszcze jest przypuszczenie, że w podobny sposób można zwalczyć miłość, a przynajmniej zapobiedz gwałtowniejszym jej wybuchom i przemienić ją w małe, nic nie znaczące niedomaganie moralne. Potrzeba atoli na to, równie jak na ochronienie się od zimnicy, nie mieć wewnętrznej predyspozycji do cierpienia, o którem mowa, i potrzeba także że tak powiem, zmiany powietrza. W oddaleniu od przedmiotu, sprawiającego irytację sercową, pierwsze symptomata choroby ukoją się niebawem. Ale Stanisław z konieczności widywać musiał Marynię codziennie. Gdy uczył jej braciszka, albo przechodziła od czasu do czasu przez pokój, w którym odbywała się lekcja, albo też siadała opodal z jakąś robotką, przyznając się naiwnie, że bardzo lubi słuchać, jak p. Stanisław wykłada Mundziowi niektóre przedmioty, których nierównie gorzej uczono w pensjonacie, gdzie pobierała nauki. Przy obiedzie, przy herbacie, Stanisław miał tuż przy niej miejsce u stołu — wieczorami następowały długie, spokojne pogadanki, w których młodzi państwo brali chętny i żywy udział. Pani Aloiza otoczyła z czasem Stanisława rodzajem macierzyńskiej opieki nad szczegółami jego kawalerskiego gospodarstwa, a nie trudno mu było domyśleć się, jak wielka i przeważna część wszystkich tych drobnych ale nieustających grzeczności i starań była w sekrecie dziełem panny Maryni — pani Smiechowska zmieniła się bowiem była tylko powierzchownie, dzięki troskliwości córki, która zajmowała się całem gospodarstwem, w rzeczywistości zaś, równie teraz, jak dawniej, dobra ta i poczciwa zresztą osoba była najzupełniej bezradną.

W takich warunkach, skłonne do zapalnych chorób, serce mojego bohatera było już z góry w największem niebezpieczeństwie, a z czasem musiało uledz bez ratunku. Nie była to miłość niespokojna, namiętna, pełna dręczących niepewności i gwałtownych porywów, która go opanowała — spadła ona niejako na jego duszę, jak jeden z owych snów miłych i spokojnych, w których widzimy kwiaty, czujemy ich woń, i lekki powiew wiatru, i słyszymy jakąś cichą, a upajającą słodko muzykę, i pod których wrażeniem chcąc nie chcąc czujemy się szczęśliwymi. Daremnie więc Wołodecki wmawiał w siebie, że nie myśli o Maryni, daremnie starał się zajmować czem innem od rana do wieczora, pracował zawzięcie w *Orędowniczce*, z niesłychaną pilnością zajmował się naukami małego Smiechowskiego, a w swoim pokoju, podczas wolnych godzin, czytał, uczył się rzeczy jak najmniej mających związku z miłością — najsuchsze i najżmudniejsze studja matematyczne, najprozaiczniejsze artykuły gazeciarskie, najelementarniejsze szykany, któremi męczą chłopców w gimnazjach, wszystko to przejęte i przetkane było jednym uroczym obrazem, jedną uroczą wszechobecnością — Maryni.

Raz, było to w wigilię Bożego Narodzenia, po staroświecku obdzielono się uroczyście opłatkiem i życzono sobie serdecznie wszelkiej pomyślności. Oprócz Wołodeckiego, państwo Smiechowscy mieli jeszcze jednego gościa, ażeby stosownie do przesądu, liczba siadających do stołu była parzystą. Stanisław łamał się opłatkiem z wszystkimi, tylko nie miał jakoś odwagi przystąpić do młodej gosposi, zajętej przygotowaniami do wieczerzy. Ociągał się w kąciku, a nawet, korzystając z przerwy stworzonej komplimentami, które wymieniano z gościem, wyniósł się nieznacznie z jadalnego pokoju do salonu. Jakoś nie wiedział, co powiedzieć Maryni, jakoś czuł się mniej swobodnym niż zwykle, gdyby mu przyszło odbyć z nią ceremonję tak łatwą w gruncie, jak wygłoszenie formułki: dosiego roku, lub innej podobnej.

— Prosimy do stołu! — odezwała się głośno p. Smiechowska.

Stanisław ocknął się z dumania o niczem i zwrócił się ku jadalnemu pokojowi, ale nim postąpił krok, stanęła przed nim Marynia z opłatkiem w ręku.

Chciała coś mówić, ale zarumieniła się tylko, patrząc mu w oczy. Jakie dziwne, jakie słodkie było jej spojrzenie! Jak wyraźnie mówiły jej usta, chociaż poruszały się, nie mogąc zartykułować żadnego wyrazu! jak piękną była w tem zakłopotaniu! Podała mu rączkę, rączka drżała... całe dziewczę drżało — i wielka tajemnica serduszka, w kształcie małej łezki, błysła na rzęsach, zdając się mówić: Niech mię pan Stanisław kocha!

Niech kocha! Czy wolno kochać człowiekowi, który ma sześdziesiąt idealników przychodu miesięcznie, oddanych na spłatę długów? Czy wolno mu zwłaszcza kochać pannę ze znacznym posagiem? Czy wolno mu nadużywać przyjacielskiego zaufania, z jakiem go Władysław przyjął do swego domu? Nie, powiedział sobie w duszy, stokroć nie! Byłem szalony, gdy nie umiałem stłumić w sobie moich uczuć dla Natalji, ani oderwać się stanowczo, raz na zawsze od jej widoku — powinienem był pamiętać, com winien własnej mojej godności i miłości własnej. Teraz jeszcze czas zerwać — od przyszłego miesiąca ustaje wypłata moich długów, mogę nająć sobie pomieszkanie i stół gdzieindziej. Właściwie nie powinienbym tu zostać dłużej ani chwili, ale co począć? Nie mam czem teraz zapłacić pomieszkania, a zresztą, takie raptowne postanowienie wydałoby się dziwnem Smiechowskiemu, nalegałby na mnie, wypytywałby się o przyczynę, a nie wiedziałbym, co mu powiedzieć. Za tydzień powiem mu, że od pierwszego lutego nie mogę udzielać lekcji Mundziowi i że mu znajdę innego nauczyciela...

Z takiem nieodwołalnem postanowieniem w duszy, Stanisław, jak powiadam, widział świat w bardzo posępnych barwach. Teraz dopiero czuł, jak ciężkiem brzemieniem ubóstwo nieraz przygniata człowieka, jakie na niego wkłada nieubłagane obowiązki. Wobec Kluszczyńskich miał on skrupuły, które usunęła chwilowo owa niespodzianka pieniężna, jaką sprawił mu hr. Łapiński. Wobec Smiechowskich czuł, że w danym wypadku skrupuły tego rodzaju byłyby zbytecznemi, ale ażeby nastąpił »dany wypadek«, potrzeba było wprzód korzystać z niedwuznacznych objawów przywiązania, jakie widział u Maryni, potrzeba było porozumieć się z nią, z dziewczęciem liczącem zaledwie lat siedmnaście, zaledwie wstępującem w życie, czyli innemi słowy, wyzyskać zaufanie rodziców i pod ich bokiem prowadzić romans z ich córką. Honor i sumienie zabraniały tego i nakazywały usunąć się, nim rzeczy zajdą dalej wśród warunków tak bardzo sprzyjających ich rozwojowi.

Tego dnia, kiedy Stanisław odniósł Maryni jej dukaty, upływał właśnie termin, do którego wypadało mu koniecznie zawiadomić Smiechowskiego o powziętem postanowieniu. Smiechowski wrócił popołudniu ze swojej wyprawy myśliwskiej i był nadzwyczaj wesół. Z szczególną czułością pocałował córkę w czoło, gdy się dowiedział od Stanisława, że funduszami swojemi chciała ratować nieznajomego jej zupełnie człowieka od grożącego mu więzienia. Nadmienił przytem, że interesa Banku Filodemicznego nie muszą być tak bardzo rozpaczliwemi, jak głoszą dzienniki, skoro dyrekcja nie wahała się oddać sądowi sprawę, która da powód do nieuniknionej rewizji wszystkich ksiąg i dokumentów. Nabrał Stanisława z góry za jego zamiar naruszania kapitaliku matki na korzyść tak widocznego oczajduszy, jak Salewicz, i przeniósł rozmowę na inne, weselsze przedmioty. Stanisław nie znalazł sposobności rozmawiania z nim sam na sam, i zmuszony był odłożyć swój interes do jutra. Przytem, mimo wszelkich usiłowań, ażeby nie dać nikomu do poznania, co się działo w jego duszy, był niepospolicie smutnym. Serce mu pękało wśród tego miłego, domowego kółka, do którego tak był przylgnął, i od którego konieczność nakazywała mu oderwać się na zawsze. Uczucia jego podobne były poniekąd do uczuć ojca, przypatrującego się wesołości i przysłuchującego niewinnym projektom dzieci, podczas gdy wewnątrz przygniata go troska jakiejś nieuniknionej katastrofy, która wisi nad nim i zasmuci jutro do głębi całe to swobodnie gwarzące grono. Wiedział przynajmniej, że zasmuci jego i Marynię. Złapał się raz nawet na gorącym uczynku, jak nie bez przyjemności myślał o tem, że i ona będzie smutną. Postanowił, nie mieć więcej takich myśli, i odważnie spełnić swoją powinność. Postanowienie to nie mogło umniejszyć jego tęsknoty. Są czyny bohaterskie, których nie można dokonać z pogodnem czołem. Mamże wyznać? Bohater mój kładąc się spać, płakał jak dziecko!

Ale i drugi bohater tej powieści niewesełą tego dnia miał minę, zwłaszcza pod wieczór. Rada zarządzająca Banku pochwaliła była wprawdzie jednogłośnie nieugiętość, jaką dr. Mitręga okazał w sprawie Salewicza. Oprócz tego, przyznano mu pożyczkę, która na cały rok pozwalała mu utrzymać dotychczasowy *szyk* pański, i prowadzić dom, jak zawsze, okazały — ale pożyczkę tę potrzeba było zrealizować, tj. przeprowadzić jej intabulację, odebrać papiery i następnie sprzedać je w Krachenburgu. Na to, potrzeba było znowu odbyć podróż do tego miasta i postarać się o fundusze na drogę. Tymczasem, dziś właśnie upływał ostateczny termin w sprawie czynszu za pomieszkanie. Dr. Mitręga postanowił widzieć się ze swoim gospodarzem, pokazać mu promesę Banku i uzyskać nową zwłokę. Gospodarz odparł, że nie ma czasu widzieć się z p. doktorem, ale przysłał mu przez służącego kwit, prosząc o pieniądze. Dr. Mitręga i teraz jeszcze ani jednem słowem nie przyznał się żonie, do jakiej ostateczności jest przywiedzionym — słuchał tylko w roztargnieniu jej projektów, dotyczących balu, który zamierzała dać za tydzień, i poszedł spać z czarnemi przeczuciami w duszy.

W istocie, nazajutrz rano, z uderzeniem godziny ósmej, zapukano energicznie do drzwi pokoju, w którym p. doktor odbywał swoją toaletę. Mimo równie energicznej odpowiedzi: Nie można! drzwi otwarły się i wszedł prawny zastępca właściciela domu, w towarzystwie woźnego.

Woźny w grzecznej ale stanowczej formie wezwał p. doktora, ażeby natychmiast opuścił pomieszkanie, wraz z rodziną i domownikami.

Pan doktor, nie tracąc jeszcze kontenansu, odparł, że niepodobnem jest wyprowadzać się tak rano, i że musi przecież nająć ludzi do wynoszenia rzeczy itp.

Na to odparł zastępca gospodarza, że wynoszeniem rzeczy nie potrzebuje się p. doktor trudnić, ponieważ zajęte są na rzecz jego klienta, i na zabezpieczenie zaległego czynszu.

Pan doktor próbował raz jeszcze »porozumieć się« ze swoim gospodarzem, ale odpowiedziano mu, że ten wyszedł, jakoteż iż zastępca ma formalne pełnomocnictwo do działania w jego imieniu.

Pan doktor próbował z kolei gniewać się, ale woźny zrobił natychmiast spokojną uwagę, że ma prawo w razie potrzeby zarekwirować wartę.

Pan doktor groził, że uda się do oberkomisarza, do oberszpitalnika, do jenerała dowodzącego wojskami, do ministerjum w Krachenburgu i t. d., ale groźby te obiły się o uszy zupełnie nieczułe.

Pozwolę sobie rzucić zasłonę na scenę, która nastąpiła i nie będę malował pomięszania, trwogi, rozpaczy pani Natalji, gdy jej przyszło z dzieckiem na ręku siadać do dorożki — z powodu, iż konie dr. Mitręgi także objęte były zajęciem, bo nie zapłaciły czynszu za stajnię — i jechać na sokołowskie przedmieście, szukać przytułku i pomocy w dworku rodziców. Była to scena przykra i nie malownicza, zwłaszcza gdy wiatr z śniegiem i deszczem pozbawiał przejażdżkę reszty komfortu, jaki znaleść można w dorożce, i gdy wiadomość o tem, co się stało, ściągnęła spore grono ciekawych pod bramę domu.

Operacja sądowa taka, jaką tu opisuję, nazywa się w Milicji »rumacją«.

Pani Natalja nie zastała ojca w domu, pospieszył on już był do biur Banku Filodemicznego. Sekretarzowa pomogła jej tylko płakać, i tuliła dziecinę, również płaczącą.

Dr. Mitręga pospieszył także do banku, z miną wielce zafrasowaną. Ci, którzy go widzieli, jak wchodził, widzieli w jakiś czas także, jak wybiegał z tamtąd, już nie zafrasowany, ale śmiertelnie blady.

(Dokończenie nastąpi.)

WEGETARJANIZM.

Istnieje w Anglji — kraju, jak wiadomo, oryginałów — grupa około 3000 ludzi, która postanowiła nie jeść mięsa Doktryna Pytagoresa nie umarła — odżyła pod nazwiskiem wegetarjanizmu.

Nie dawno na medycznym fakultecie pary-

zkiego uniwersytetu, Angielka p. Kingsford, prowadziła w tym przedmiocie dyskusję, i dość udatnie i z pewnym pozorem słuszności wykazywała korzyści pożywienia wyłącznie roślinnego. Zresztą poglądy jej nie były czysto teoretyczne; p. Kingsford stosuje do swoich doktryn — czyny: jest wegetarjanką i od ośmiu lat mięsa wcale nie je.

Nad teorjami temi, należy zastanowić się poważnie: bo jakkolwiek dziwnem mogłoby się wydawać ich przyjęcie, to wszakże zbyt wygodnym i mało naukowym sposobem zaprzeczenia — byłby lekceważący uśmiech. Wegetarjanizm zasługuje na większą uwagę.

Otóż zaraz jasnem jest, że człowiek jest z natury owocożernym. Wskazuje to jego system zębowy, a przedewszystkiem sposób życia i obyczaje zwierzęcia najbliższego — mu małpy. Małpy żyją jedynie jarzynami i owocami; i to nie tylko małpy nowego kontynentu, lecz i wielkie małpy Afryki. Olbrzymie kły gorylla, nie wskazują na pożywienie zwierzęce. Goryl żywi się owocami, liśćmi, ziarnem i korzeniami. Nie ulega wątpliwości, że człowiek w stanie dzikości czynił to samo. Na niektórych wyspach Australji, w pewnych okolicach Afryki, pożywienie człowieka jest czysto roślinnem.

Prawdę powiedziawszy, stanowi to nie wiele: gdyż jeżeli korzystniejszem jest dla człowieka jeść mięso, to pokarm mięsny wskazuje postęp. Najważniejszem jest wiedzieć, czy mięsożerność jest postępem Ileż to zmiam wprowadza cywilizacja, które są powodem szczęśliwej przemiany naszej pierwotnej natury!

Pozostawmy więc na boku ten argument wegetarjanów, że naturalnym pokarmem człowieka są rośliny, i zobaczmy najprzód, czy człowiek może żyć bez mięsa, a następnie czy pożywienie takie dobrze wpływa na jego zdrowie i siły.

Że człowiek może żyć samemi roślinami, to jest dowiedzionem. Są miljony ludzi, którzy jedzą jedynie ryż; inni tylko zboże i kukurudzę. W równikowych krajach Afryki i Ameryki południowej, pożywienie mięsne stanowi wyjątek. W Europie nawet, po wsiach, włościanie jedzą mięso bardzo rzadko. Jednakże są silni, pracują, cieszą się dobrem zdrowiem, mają dużo dzieci, i dochodzą do późnego wieku. Hiszpanie, Piemontczycy, Neapolitańczycy, Turcy, Arabi, są prawie wszyscy wegetarjanami. Nie dla tego oczywiście, ażeby należeli do angielskiego stowarzyszenia, lecz że mięso jest drogie. Zresztą w klimacie gorącym, dla utrzymania dostatecznej ciepłoty organizmu, nie wiele potrzeba pokarmu. W ogóle kwestja pierwsza rozstrzygniętą jest przez codzienne doświadczenia: można żyć i być zdrowym, bez jedzenia mięsa *).

Lecz dzielność muskułów w takim razie zmniejsza się, czy zwiększa? Kwestja ta, z punktu fizjologicznego nieraz była roztrząsaną. Pp. Fick i Vislicenus, p. Pavy i inni uczeni wykazali, że materje białkowe nie służą do wytwarzania siły muskularnej. Gdy muskuły pracują, nie białko się zużywa. Wodory węgla oraz tłuszcz krwi i tkanek oksydują się, i ilość kwasu węglowego wydychanego powiększa się. Rola azotu w pokarmach nie jest dostatecznie oznaczoną. Materje proteinowe służą prawdopodobnie za pożywienie samym tkankom, a nie do kombustji, która powstaje z pracy mechanicznej i ciepła. Dla tego, ażeby elementa anatomiczne żyły, potrzeba im azotu, i bardzo być może, iż zwierzę w odrętwieniu zużywa tyleż materyj azotowych, co obudzone i pracujące.

Zresztą pokarmy roślinne zawierają także azot. W 100 gramach mięsa, jest materji azotowej 15 gramów. W substancjach roślinnych znajdujemy jej prawie tyleż a niekiedy więcej, jak to wskazują następujące cyfry.

Zawierają materji azotowej na 100 gramów wagi:

Bób	30
Fasola	25
Groch suchy . . .	23
Soczewica . . .	25
Pszenica . . .	15
Hreczka . . .	13
Żyto	12
Kukurudza . . .	11
Ryż	7
Kartofle . . .	2

Ser zawiera materji azotowej 30 do 40 na 100.

Nie brak więc azotu w pokarmach roślinnych. Czego tam nie ma, to tłuszczu. Otóż tłuszcz jest koniecznym, gdy idzie o rozwinięcie wielkiej siły muskularnej, lub o wytworzenie wiele ciepła dla dania odporu zimnu, przychodzącemu z zewnątrz. Eskimosi i Grenlandczycy zmuszeni są pić tłustą krew fok i obrzydliwe to pożywienie zdaje się być potrzebnem i dla podróżnych zwiedzających strefy polarne, gdyż węgiel i wodoród tłuszczów konieczne są do wytworzenia w organiźmie ciepła, dostatecznego do utrzymania w organiźmie zwierzęcym + 37° przy — 40 zewnętrznej temperatury. Ale w Kairze lub w Kalkucie, a nawet w Madrycie i Marsylji nie jest to koniecznem — oliwa wystarczyłaby tam zapewne. Obawiamy się nawet, czy nie to samo dałoby się powiedzieć o całej Francji, Anglji i Niemcach. Masło i jaja dostarczałyby może dość materji tłuszczowych, ażeby maszyna źwierzęca opierała się klimatowi i wytwarzała siłę.

Wegetarjanie więc nie powinni doktryny swej uogólniać. Dość będzie dla nich ustępstwa, gdy się przyzna, iż w krajach gorących pokarm jedynie roślinny jest dobry i dostateczny. pod warunkiem dodawania doń mleka i jaj. Tak pojęty, wegetarjanizm jest rzeczą godną uznania i opartą na nauce. Gdyby nam jednak wolno było udzielić wegetarjanom jedną radę, to radzilibyśmy im, ażeby się wystrzegali dowodzeń sentymetalnych. Bydłobójnie, powiadają oni, są szkołą dzikości: mordowanie zwierząt jest widokiem okropnym. Człowiek nie ma prawa zabijać stworzeń żyjących. Te i tym podobne frazki czynią ujmę poważnej teorji, której bronią i którą chcą upowszechnić. *Homo sum et humani nihil a me alienum puto*: oto dla czego uważamy za dobre wszystko, co jest pożytecznem dla naszych bliźnich, a zwierząt jako bliźnich naszych nie uznajemy. Jeżeli interesem człowieka jest żywić się niemi, niech się żywi, bez najmniejszego wyrzutu.

Szczupak pustoszący stawy czy czuje wyrzuty? Lis mordujący kurniki czy czuje wyrzuty? Słuchają prawa natury. Potrzebują mięsa, ażeby żyć i przekładają życie własne nad życie ofiary Toż samo i my. Gdyby przyszło zabić tysiąc baranów dla ocalenia życia jednego człowieka, nie wahalibyśmy się; poświęciłoby się tysiąc istot niższych, dla zachowania jednej istoty ludzkiej.

Zaiste trzeba mieć odwagę, ażeby tak jak wegetarjanie iść przeciw prądowi ogółu. Opinją ogółu jest: że należy żywić się mięsem i sekta, choćby nawet z 3000 osób złożona, choćby nawet powagą młodej doktorki fakultetu paryzkiego poparta — nie może mieć nadziei zawrócić ten prąd, który unosi człowieka ucywilizowanego ku *creophagji*. Z tem wszystkiem, będzie to z pożytkiem dla nauki, jeżeli się pokaże, że pokarm zwierzęcy nie jest potrzebnym, jeżeli się zeszczepi wątpliwość, że jest najlepszym. Być może, iż to jest przesądem, gdy się uważa, że jedząc mięso, jest się zdrowszym i silniejszym!

*) Żona jednego z założycieli Angielskiego Towarzystwa wegetarjanów, żyła bez mięsa 80 lat. Miała 15-ro dzieci, z których 14-ro karmiła sama. Zachowała do późnego wieku nie tylko kwitnące zdrowie, lecz i wielką siłę i żywość umysłu.

PISMIENNICTWO POLSKIE.

Józef Rogosz. Marzyciele. Powieść historyczna z pierwszej połowy wieku XIX. 3 tomy. Lwów 1881. Nakładem Księgarni Polskiej. str. 189, 231 i 251.

Suum cuique. —

Dziwnemi nieraz torami idzie krytyka. Często potępia ona dzieła, które już oddźwięczały w tysiącach serc, które się zrosły z narodem.. Geniusze wybrane, idące nowemi drogami — odsądza od talentu nawet, a wydając apodyktycznego potępienia wyroki, na uznane przez naród arcydzieła, robi się literackim Don Kiszotem. Często znów dekretuje na geniuszy ludzi, których dzieł nikt nie czyta; a wydobywszy ich chwilowo z odmętów zapomnienia, robi z nich sztuczne wielkości, które stojąc na glinianych nogach, spadają w głębie niepamięci, jak tylko ustanie działać podtrzymująca ręka krytyki. Czasem ta sama krytyka wyszukuje istotne perły, na których się ogół nie poznał; przedstawia je we właściwej oprawie i świetle, i dopomaga im do wypłynięcia na wierzch. — Często — najczęściej — szeroko i długo rozwodzi się nad miernościami, nie śmiejąc czy nie umiejąc przyłożyć swego szkalpelu do dzieł rzetelnej, znakomitej wartości — i albo je zbywa ogólnikowemi frazesami — albo uśmierza je milczeniem.

Że tak jest, nikt nie zaprzeczy, kto tylko sumiennie przepatrzył całą naszą perjodyczną literaturę ostatniego dziesięciolecia.

Jakież są tego zjawiska powody? Nam się zdaje, że one tak liczne, jak różnorodność krytyki i krytyków. Albo względy na cenzurę nie pozwalają krytyce wypowiedzieć śmiało i bez ogródki swego zdania — jak się to np. w Warszawie dzieje — albo oślepiające uprzedzenia kastowe, partyjne, bądź społecznej, bądź politycznej natury, nie dają krytykom patrzeć sumiennie i bezstronnie na utwory swego i przeciwników obozu — albo też krytykami powodują względy osobistej przyjaźni lub nieprzyjaźni i ci, mimo wytrawności sądu, jaki w nich przypuścić należy, nie umieją patrzeć inaczej, jak przez szkiełka uprzedzenia. Nagromadzenie sił naukowych i literackich w większych miastach kraju, jak Warszawie, Lwowie, Krakowie, pociąga za sobą wzajemną styczność różnych żywiołów literackich w kierunku dodatnim lub ujemnym; a wpływem pierwszego

jest: wzajemna adoracja — drugiego: wzajemne potępianie. Rzadko da się słyszeć głos bezstronnego sądu; zwykle przeważają względy osobiste i to tem więcej, jeżeli autor działa i żyje tam, gdzie krytyk. W naturze ludzkiej leży, że znając człowieka, sądzimy o dziełach jego po nim samym, a widząc jego osobiste wady lub zalety, staramy się odszukać je w pismach. Czy to słuszne? wątpić sobie pozwalamy — mimo że dotąd zapatrywanie takie góruje u ogółu piszących i czytających. Sumienna krytyka pytać się powinna o dzieło, nie o autora, bo naród czytający to dzieło, z niego, a nie z prywatnego życia pisarza czerpie bądź siły żywotne, bądź powolną truciznę. Dla biografa może być ważnem, że Mickiewicz pisał „Pana Tadeusza“ we Francji — narodowi wystarcza, że „Pana Tadeusza“ posiada. Francuz śpiewając Marsyliankę cieszy się nią jak dziecko — bo to skarb jego narodowy, i ani mu przez myśl przejdzie, że jej autor był miernych zdolności inżynierem. Na tym to punkcie chroma nasza krytyka, mięszając do spraw duchowego, ogólno-ludzkiego lub ogólno-narodowego znaczenia, nędzotki powszedniego życia. Krytyk nie powinien zaglądać za kulisy codziennego życia artystów i pisarzy przez siebie krytykowanych, bo traci swoją przedmiotowość sądu, a kto chce być sędzią, ten w rozsądzanym procesie nie może występować ani jako oskarzyciel, ani jako współoskarzony, ani nawet jako świadek.

Te uwagi nasunęły się myśli, gdyśmy wzięli do rąk dzieło, o którem mówić zamierzamy. — Autor jego należy do tych szczęśliwych czy nieszczęśliwych pisarzy, których krytyka uśmiercała dotąd milczeniem, albo zbywała ogólnikami. Działalność jego literacka nie od dziś się datuje; świadczy o tem cały szereg dzieł i wydawnictw, a jednak tylko jedno pismo literackie zamieściło recenzję jego powieści — inne pisma zaledwie o dziełach jego bibliograficzne wydrukowały wzmianki.

Stojąc zdaleka od ruchu literackiego stolicy — żyjąc zdala od codziennego życia literatów w stolicy i nie znając stosunków tamtejszych, nie umiemy sobie tego zamilczania wytłumaczyć; w każdym jednak razie, co bądź jest przyczyną jego, musimy nazwać to zamilczanie niesprawiedliwem, niesłusznem i godności krytyki w wysokim stopniu uwłaczającem. Gdy się rozbiera i podnosi dzieła tylu literackich mierności, to nie wolno milczeć o pisarzach tej miary, jak autor „Marzycieli“. Są dzieła, które chwali krytyka, a publiczność do rąk ich nie bierze; o dziełach Rogosza milczy krytyka, a czytający ogół podaje sobie je z rąk do rąk i każde wita z pewnem zadowoleniem, odczytuje z uciechą.

Śledziliśmy rozwój talentu tego pisarza od czasu gdy rozwinął większą działalność literacką i widzimy ciągły postep. Jego studja o sztuce w Polsce pt. »*Artur Grottger i Jan Matejko*« dały nam go poznać jako rzetelnego znawcę dzieł malarskich, a śp. Łucjan Siemieński, który w tym względzie jest niezawodnie powagą, wyraził się w obec kilku osób, gdyśmy go o zdanie o tych studjach pytali, że: jestto *jedyna dobra rzecz* jaką o Matejce i Grottgerze u nas napisano!... Ale talent Józefa Rogosza rozwinął się najwybitniej na polu powieściopisarskiem.

W »*Wojewodzicu*« obok gładkości stylu widzieliśmy potworność pomysłu, która nas oburzyła i dla tego musieliśmy „Wojewodzica“ potępić, mimo że autor roztoczył przed nami tyle świetnych przymiotów swojej fantazji i stylu, że te kazały go zaliczyć do najlepszych sił powieściopisarskich.

»*Tak być musiało,*» szkic psychologiczny, dał nam poznać nową stronę talentu Józefa Rogosza i utwierdził nas w przekonaniu, że pisarz rozporządzający takiemi zasobami wyobraźni i spostrzegawczego ducha podąży jesze wyżej... »*Złamane serca*« były nowym etapem na tej drodze rozwoju i przekonały nas, że autor „Wojewodzica“ całkowicie zeszedł z fałszywej drogi apoteozowania grzechu dla tego, że on jest przyjemnym, a obrał inną, bardziej odpowiednią, bo moralniejszą: potępiania grzechu dla tego że nim jest i złe za sobą niesie, Jeżeli w następnej powieści »*Pokuta*« nie umiał zachować artystycznej miary w przeprowadzeniu swojej myśli; jeżeli tendencja za nadto jaskrawie wydobywała się na pierwszy plan, ze szkodą dla ogólnego tła powieści i jej wartości literackiej, to w każdym razie spostrzedz się dał, w tych dwóch ostatnich powieściach, pewien spokój mile działający na czytającego, a świadczący, że talent autora przebył już swoją — jeśli mi tak powiedzieć wolno — Sturm und Drangperiode, i że odtąd mamy się spodziewać dzieł artystycznie wykończonych i większego znaczenia... Oczekiwania nie zawiodły nas.

Nim „Marzyciele“ ukazali się w osobnej książce, juześmy o nich z wielu, bardzo wielu ust słyszeli pochwały, a sami byli świadkiami, jak gorączkowo czekano na numera „Dziennika polskiego“, w którym powieść ta drukowaną była. Jestto powieść historyczna, zatem jeszcze kilka uwag. Czyny wybitnych charakterów dziejowych; charakterów możnych potęgą ducha czy namiętności, działają na wyobraźnię pisarza plastycznie i porywają fantazję dramaturga. Czas w którym one działają służy mu za tło do obrazu, którego pierwszą i główną figurą jest jednostka. Epoki przełomów w ludzkości, przełomów społecznych czy politycznych; czasy w których ogólne prądy pochłaniają w sobie jednostkowe charaktery ludzi, a nie mogą się zdobyć, mimo całej swojej dziejowej grozy i wielkości, na wydanie choćby jednego wielkiego człowieka, skupiającego w sobie żądze, żądania i dążenia ogółu, działają na wyobrażnię pisarza sposobem malarskim i wywołują zamiast dramatu — powieść historyczną. W niej główną rzeczą jest malowanie czasu; jednostki służą tylko do objaśnienia epoki, do uzupełnienia obrazu. Powieść taka nie sili się na przedstawienie jednego bohatera, bo go nie wydała epoka.

Charakter wybitny i czas wybitny, pierwszy pobudzający do dramatu, drugi do powieści, tylko wtedy przedstawią się w należytem świetle, jeżeli pisarz rozporządza środkami odpowiedniemi; jeżeli zarówno dobrze zna epokę, jak człowieka; równie sumiennie zbadał porywy jednostek jak ludzkości całej lub narodu; zajrzał do głębi tych komórek serca i duszy, które wywołują bądź poronione płody usiłowań, bądź tworzą czyny skończone w sobie, doniosłe na zewnątrz siebie. Przy kreśleniu takich dziejowych obrazów, czy to w powieści, czy w dramacie, fantazja pisarza działać powinna mniej twórczo, a więcej jako czynnik porządkujący. Zastaje ona gotowe fakta dziejowe, które tylko artystycznie przetworzyć powinna, nie uraniając z nich ani cząstki tego ducha czasu, który je wywołał. Tu artystę posiłkuje jego poczucie piękna, zmysł kompozycyjny, przymioty stylu, które mu pozwalają najprostszemi sposobami wywołać największe efekta. Jeżeli jednak dzieło takie, ma się stać utworem wysokiej artystycznej i literackiej wartości, musi się w niem obok wszystkich powyższych przymiotów znaleść jeden, nader ważny, może najważniejszy, to jest: pisarz musi stać po za epoką, którą maluje, — po nad przekonaniami ludzi i stronnictw, które przedstawia; przez dzieło jego musi przeświecać wyrozumiałość wytrawnego męża i to tajemnicze, ledwie dostrzegalne, ale ciagłe, zniczowe uczucie miłości dla wszystkiego co ludzkie i ojczyste.

Z tych zadań historycznej powieści widocznie zdawał sobie sprawę, autor „Marzycieli“, kiedy za motto swej pracy obrał sobie aksiomat francuskiego pisarza: Tout comprendre c'est tout pardonner. Tak jest! Wszystko zrozumieć, znaczy: wszystko wybaczyć!..

Popatrzmy teraz czy i jak wywiązał się autor z zadania odmalowania społeczeństwa naszego w czasach od rewolucji listopadowej do do roku 1848.

1831—1848! Krótki to a obfity w wypadki przeciąg czasu — rozpoczęty jedną, zakończony drugą katastrofą upadku narodowych usiłowań, skierowanych ku oswobodzeniu ojczyzny.

Upada powstanie listopadowe; w kraju zostają ruiny; niedobitki rządu i armji chronią się za granicę. Na zachód wylewa się fala ludzi młodych i starych, różnych warstw społecznych, różnych przekonań politycznych. Jedni opuszczają ziemię rodzinną z całą wiarą w przyszłość szczęśliwszą,— drudzy z resztkami nadziei, trzeci całkowicie zrozpaczeni. Rozpoczyna się perjod emigracyjny; perjod pracy dla kraju, za krajem. Gorączkowo nastręcza się wszystkim pytanie: co ruch narodowy zwichnęło; a każdy krytykując przeszłość i ludzi w niej działających, mniema być zbawicielem ojczyzny w przyszłości, jeśli ta pójdzie śladem przez niego wskazanym. Zawiązują się stowarzyszenia, stronnictwa, kółka; wyłaniają się z głębin emigracyjnego życia prądy różnorodne i ludzie różnorodni; dzieli się wiara na obozy, a każdy za godło, za cel ostateczny swych dążeń — głosi Ploskę od morza do morza! Jedni widzą ratunek sprawy narodowej w dyplomacji mocarstw; drudzy we współczesnej ogólno europejskiej rewolucji inni w samodzielnem zbrojnem powstaniu; znów inni w usamowolnieniu włościan i rewolucji socjalnej; są tacy, którzy wierzą tylko w dawną, szlachecką Rzeczpospolitę z obieralnym królem na czele; inni w bezwzględnej demokracji szukają zbawienia; każdy się krząta około wykonania swych zamiarów jednostronnych, a gdy one przechodzą w czyn, rzeczywistość stosunków mści się strasznie na — marzycielach. Tak się dzieje na emigracji.

W kraju mimo pozornego zobojętnienia, mimo apatycznego spokoju po wielkich wysileniach, także nie odpoczywa duch narodu, zwłaszcza, że go ideamiswemi zasila emigracja i emisarjusze tejże. Tylko nieliczne jednostki usuwają się od jakiegokolwiek patrjotycznego działania; ogół czuje i marzy po polsku. Im większy ucisk, tem większy odpór; kto tylko Polakiem się mieni, poczytuje sobie za powinność, za zasługę sprzeciwić się istniejącemu rzeczy porządkowi, bo ten narodowi został narzucony. Podejrzywani, śle-

dzeni, prześladowani, a nie mogący na razie mścić się i sił swych poświęcić jawnie, wielkiej sprawie wyswobodzenia, karmią umysły projektami, pomysłami, przechodzącemi niekiedy w absurda, w dzieciństwo, ale czynionemi z tą dobrą wiarą, jaka cechuje Polaka, gdy jego ojczyzna potrzebuje zbawienia.

Marzenie o wolnej Polsce; o tej potężnej macierzy sięgającej od Karpat po wybrzeża Bałtyku, przejawia się we wszystkich umysłach polistopadowej epoki; ono daje narodowi wieszczów i poetów, którzy pieśnią budzą ducha, wiarę w przyszłość. W tej epoce następuje zwrot ku ludowi, ku pieśni gminnej, ku potrzebie wieśniaka; głosy o usamowolnienie i uwłaszczenie odzywają się coraz częściej; kwestja ta prowadzi do idealizowania ludu, do obłędu, że na nim można oprzeć walkę o wolność i niepodległość, słowem wszystko śni i marzy na jawie. Czas ten wywołuje Mesjanizm i Towiańszczyznę; najgłębsze duchy idą na lep bezsensowych nauk, najskrajniejszego marzycielstwa, a wszystko to dzieje się z dobrą wiarą, z przekonaniem, że tym zbawi się ojczyznę. Wszyscy i wszędzie marzyciele, których z wizji anielskich budzi dopiero straszny palec Boży — rok 1846!

Ten to perjod czasu i jego ludzi obrał sobie autor za treść „Marzycieli;“ na temto tle historycznem napisał historyczną powieść; powieść, jakich niewiele posiada literatura nasza; dał dzieło, które góruje po nad mnóstwem utworów lat ostatnich, bo w niem równie świetnie przedstawiony charakter dziejowy, jak charaktery ludzi; bo ostatnia myśl jego obok potężnego wrażenia smutku, daje jeszcze potężniejsze wrażenie wiary i nadziei!...

O jednym ze swych bohaterów powieści mówi autor na końcu książki, że po roku 1846 „kocha Polskę, lecz inaczej niż dawniej. Niegdyś o niej *marzył*, dziś o niej myśli. Niegdyś był dla niej gotów *popełniać szaleństwa*, dziś nauczył się dla niej *pracować*.« Takich ludzi było po roku 1846 więcej, a kogo z marzeń nie uleczył rok 1846, tego z nich zbudził rok 1863. Etyczna strona „Marzycieli“ zadowoli każdego Polaka, jakichkolwiek byłby przekonań, a to zadowolenie jest probierzem jej niepośledniej wartości. Nie wahamy się twierdzić, że stworzenie takiego dzieła, należy poczytać autorowi za czyn prawdziwie obywatelski.

Polem działania powieści jest Galicja, więc tylko jedna z prowincji dawnej Polski i zdawać by się mogło, że przez to wizerunek narodowego ruchu, nie będzie całkowitym i zupełnym. Tak jednak nie jest. Autor przedstawić umiał wszystkie prądy, jakie się w Galicji krzyżowały ze sobą; a ponieważ one były analogiczne z prądami innych ziem Rzeczypospolitej, gdyż nam je w tej epoce, zachód, a właściwie emigrecja dawała, przeto do zupełności obrazu nie brakuje w powieści ani jednej farby, ani jednego jej odcienia. Jak w kalejdoskopie przesuwa nam się przed oczami cały szereg ludzi od kanclerza Metternicha, aż do wiejskiego parobczaka; magnaci, szlachta, oficjaliści, urzędnicy rządowi, mandatarjusze, woźni, mieszczanie i chłopi; przewódzcy emigracyjni, emisarjusze, więźniowie stanu, powstańcy i księża, znaleźli pomieszczenie i to nie przypadkowe, ale z wątku powieści wynikające.

„Marzyciele“ każą uznać talent kompozycyjny autora. Nietylko że osnuł powieść swoją na tle prawdziwie historycznem, ale nawet wątek jej oparł na faktach z życia prywatnego, które były ogólnie znane, bo przebiegały z ust do ust w opowiadaniach spółczesnych świadków. Umiał te fakta luźne, odrębne, przetworzyć artystycznie, połączyć jedną myślą, przeprowadzić przez cały szereg przyczyn i skutków, a to w sposób tak zręczny i prosty, że nie wie się co w autorze podziwiać więcej: czy zmysł przyswajania sobie odebranych wrażeń, czy też umiarkowanie fantazji, które wszędzie dało autorowi stosowne farby i ochroniło od wyskoków, jakim łatwo uledz, malując tak dziwne czasy i tak dziwnych ludzi. Znak to dojrzałości pisarskiej, świadectwo artystycznego spokoju, jaki cechować zwykł niepoślednie talenta, świadome dążeń i celów. — „Marzyciele“ nie mają głównego bohatera. Nie jest nim ani hrabia Kamieniecki, ani Czesław, ani ks. Czajkowski, ani Kohutowicz, ani żadna inna działająca w powieści osoba; a jeżeli w pewnym względzie hr. Kamieniecki występuje na pierwszy plan więcej jak inni, dzieje się to przeważnie z powodów artystycznych, kompozycyjnych, nie zasadniczych. Nie jest to błędem, ale zaletą powieści; gdyż, jakeśmy to w uwagach wstępnych powiedzieli, historyczna powieść, mająca za przedmiot czasy, w których ogólne prądy pochłaniają jednostkę, nie może przedstawiać jednego człowieka, górującego myślą i czynem nad innych, bo takiego i w rzeczywistości nie było. Epoka to obfita w typy; typy też daje autor; grupuje je równorzędnie i to stanowi jego siłę. Każdy typ wychodzi z pod jego pióra skończony w sobie, nic mu dodać, nic ująć nie można, nie chcąc psuć harmonji całości. Charakterystyka tych typów tak wyborna, że postacie powieści witamy jak dobrych starych znajomych i zdaje nam się, żeśmy je spotkali w życiu. Najpodrzędniejszej figury nie zbył autor szablonem. Taki ekonom Radwański, ćwiczący się w strzelaniu ze starej armaty, z myślą pogotowia, gdy zagrzmi hasło wojny oswobodzenia, a obok tego ćwiczący nahajem „chamów“; płaczący gdy pan hrabia uwłaszcza ich i usamowalnia, a przecież słuchający z rozrzewnieniem opowiadań o równości i braterstwie; mający wysoki respekt dla panów, a smagający barona na rozkaz swej pani, jest narysowany tak sympatycznie, dosadnie i z humorem, że po odczytaniu „Marzycieli“ długo się i tego marzyciela — *sui generis* — zachowa w pamięci. Taki chłop Soroka — występuje raz jeden w powieści, mówi tylko kilkanaście słów, a przecież odtworzył w nim autor całego człowieka, charakter, typ naszego zamożnego, przychylnego dworowi włościanina, który się zawsze znajdzie w gromadzie, choćby najbardziej dworowi wrogiej. Stworzeniem postaci chłopa Semiginy chciał autor — w przeciwstawieniu do ciemnych mas chłopstwa — pokazać, że w ludzie tkwi pierwiastek dobra; że tam na dnie wieśniaczej duszy leży iskra boża człowieczeństwa, przysypana popiołami ciemnoty, nędzy, ucisku; ale którą stosownem postępowaniem można wydobyć, rozniecić, a wreszcie podnieść do godności — człowieka i Polaka. — Autor w kreśleniu typów i charakterów jest realistą; chodzi mu przedewszystkiem o prawdę życiową i dlatego nieraz wydaje się szorstkim, rubasznym. W istocie takim nie jest; to tylko humor juwenalowskiej satyry, który całą siłą udziela się czytającemu, a tylko tych razić może, którzy przyzwyczaili się do konwencjonalności i czułostkowania, a odwykli od dawnej śmiałej, dobitnej, swady polskiej — od energicznego, doraźnego traktowania rzeczy publicznych i prywatnych.

(Dokończenie nastąpi.)

Kronika Tygodniowa.

Na medal pamiątkowy 50-letniej rocznicy powstania listopadowego z roku 1830, złożyli w redakcji „Tygodnia Polskiego“ przedpłatę: *WW. Ludwik Dolański z Rakowy, Bogusław Filipowski z Rodatycz, Stanisław Nartowski z Sińkowa, Franciszek Rościszewski ze Smykowiec, K. Hajdukiewicz z Bochni.*

* * *

Jak na targ międzynarodowy, za który się podał ostatni targ lwowski — to rezultat dopełnionych tranzakcyj nie wypadł bardzo imponująco. Sprzedano trzydzieści kilka tysięcy worów różnego gatunku zboża za ogólną sumę pół miliona guldenów i cała historja skończona. Nie idzie zatem, żebyśmy potępiać mieli usiłowania przedsiębrane w tym kierunku przez grono zacnych obywateli, bo jakkolwiek targ lwowski nie dosięgnie nigdy obrotu praktykowanego przy innych targach międzynarodowych, jednak przyczynia się bardzo do bliższego poznajomienia kupców zagranicznych z naszymi stosunkami, przekonania się o wielkości zasobów kwalifikujących się do wywozu i wytworzenia instytucji obywatelskich domów komisowych, które właśnie w takich warunkach najskuteczniej mogą zastąpić producenta. Teraz więc, skoro pierwsze lody zostały przełamane, potrzeba iść dalej i żywiej podnieść projekt urządzenia magazynów zbożowych we Lwowie, magazynów, w którychby właściciel zboża mógł bezpiecznie i tanio ulokować swój towar, a w razie nieprzyjaźnych konjunktur otrzymać na niego zaliczkę. Magazyny takie i tylko magazyny rozwiążą ręce sprzedającym, a ze Lwowa uczynią punkt handlowy, w którym zagraniczni konsumenci znajdą gotowy towar do kupna. Naturalnie, że i zarządy kolejowe muszą coś zrobić z swej strony, rodzaj małego przywileju w kosztach transportu na rzecz owych magazynów, aby plac lwowski mógł rzeczywiście reprezentować plac handlowy galicyjski.

Wystawa chmielu powiodła się pod tym względem, że zgromadziła sześćdziesiąt kilka okazów bardzo ładnego i dorodnego chmielu, jednak o ile słyszeliśmy nie zrobiono żadnej tranzakcji. Widocznie browary zagraniczne mają w tym roku dosyć miejscowego produktu i nie spieszą się do kupna.

Prezent cesarski ofiarowany Towarzystwu strzeleckiemu, w sposób autonomistyczny i decentralizacyjny został szczęśliwe rozegrany, a raczej rozstrzelany przez znakomitych strzelców lwowskich tak firmowych, jako też i per procura. Rzeczywiście powinszować trzeba Towarzystw tak dobrego pomysłu rozdzielenia serwisu du herbaty, na pojedyńcze premia dla członków uiszczających w regularny sposób doroczne wkładki. Jest to początkiem organizowania się życia towarzyskiego we Lwowie, trudno bowiem przypuścić, żeby ten co otrzymał tackę, czy kubek,

zechciał oprawić go za szkło i nigdy nie używać. A zatem jest nadzieja, że wszyscy ci szczęśliwi będą się zapraszać do siebie wzajemnie na herbatę, z obowiązkiem, żeby każden przynosił z sobą brakującą cząstkę, i tym sposobem całość się złoży. Dalej uchwała strzelania przez zastępcę, również ma swoją dobrą stronę, może bowiem posłużyć za prejudykat do urządzenia stałych substytucji tam, gdzie osobista zdolność, odwaga i zręczność mogłyby zrobić fiasko. Naprzykład gdyby tak dla kronikarzy lwowskich naznaczył kto premium za napisanie najlepszego feiletonu, to wasz uniżony sługa wiedziałby kogo szukać na zastępcę w tych wyścigach na dowcipy. Spróbójcie szanowni czytelnicy ruszyć swoją wspaniałomyślnością, a ja piórem nieruszę — i wezmę.

Świat finansowy w bieżącym tygodniu odetchnął trochę — już nie będziemy mieli wojny przed wiosną. Nie dlatego, że Francuzi nie chcą iść na sznurku angielskim, nie dlatego, że Turcy żartują sobie z Europy, ale dlatego, że nasz domorosły Sokół lwowski ogłasza z całą powagą o rozpoczęciu kursu gimnastyki *pokojowej*. Gdyby miała być wojna, to któżby ją wprzód dojrzał jak nie Sokół, cieszący się, jak wiadomo wzorowym wzrokiem między ptakami! Więc na bok wszelkie strachy, moi czytelnicy, i dalejże do gimnastyki, która nietylko pomaga zdrowiu, ale nadaje giętkości wszystkim członkom ciała ludzkiego, szczególniej grzbietowi, jak wiadomo, u Polaków sztywniejszemu niż u innych narodów. Wprawdzie w ostatnich czasach umiejętność zginania karku wielki już u nas uczyniła postęp i bez przyczynienia się „Sokoła"; ale to wszystko były dopiero próby mniej więcej udatne, które po większej części zaliczyć musimy tylko do gimnastyki *przedpokojowej*. Teraz więc, gdy się otwiera sposobność przeniesienia tej nauki do pokojów, mamy nadzieję, że amatorów nie zabraknie. Cóż bowiem jest przyjemniejszego i korzystniejszego na świecie, jak umieć się kłaniać podług wszelkich form taktyki salonowej i na tę i na tę stronę, jakby się nie czuło kości w swej osobie? Wierzcie mi, daleko to mniej czasu zajmie i mniej utrudzi, niż jaka bądź inna praca cicha i skromna, daleko lepszą da pozycję, niż krwawym potem i bezsennemi nocami zdobyta na innem polu zasługa. A zatem gimnastyki, co raz więcej gimnastyki, kochani czytelnicy, zapisujcie się, pielęgnujcie ją od rana do nocy, a będziecie szczęśliwi w tem i przyszłem życiu, czego wam i sobie życzę — Amen.

* * *

Do rzędu bardzo cennych publikacji rozświecających dzieje powstania styczniowego, przybywa nowa. Jest to pamiętnik pułkownika Zygmunta Miłkowskiego, noszący tytuł: *W Galicji i na Wschodzie. Przyczynek do dziejów powstania 1863 r.* p. Miłkowski jako członek komitetu paryskiego udał się w roku 1859 na Multany, w celu przygotowania powstania. Z chwilą wybuchu otrzymał nominację na naczelnika sił zbrojnych na Rusi, zamierzał uorganizować kilkutysięczny oddział w Galicji i z nim wkroczyć w granice Rosji. Pierwsza więc część pamiętnika zajęta jest opisem organizacji powstańczej w Galicji, rzuca jaskrawe światło na stosunki ówczesne w kraju i budzi żywą ciekawość czytelnika. Druga część pamiętnika poświęcona opisowi tworzenia się oddziału powstańczego w Turcji, jego przemarszu przez Multany, bitwie z Rumunami i złożeniu broni. Jest to obrazek tak zajmujący swoją oryginalnością, a opisany mistrzowskiem piórem, że czyta się jak najciekawszy romans historyczny. Wdzięczni jesteśmy p. Miłkowskiemu za wydanie tego pamiętnika, który nie tylko zawiera ciekawe szczegóły o ówczesnych robotach w Galicji i na Wschodzie, ale rzuca nie małe światło i na ogólny obraz powstania. O książce tej pomówimy obszerniej na innem miejscu.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura.

*** Setny tomik Bibljoteki Mrówki opuścił prasę i zawiera Stefana Garczyńskiego *Wspomnienia z czasów wojny narodowej polskiej 1831 r. i Sonety wojenne.*

*** Nakładem akademji umiejętności w Krakowie wydaną została książka Teofila Mnicha, pochodząca z XII-go stulecia.

Nie wchodząc w to, do jakiej należał narodowości znany Teofil Mnich, którego mówiąc nawiasem przywłaszczają sobie Niemcy, to znów Włosi, zwracamy uwagę na ważność tej publikacji.

Zawiera w sobie rzecz ta przepisy z dziedziny złotnictwa, ślusarstwa, bronzownictwa, pisania i malowania na pargaminach i wiele bardzo innych wiadomości, zostających w bezpośrednim związku z wyrobami sztuk i rzemiosł owych czasów.

*** W ostatnim (IX) zeszycie „Przeglądu technicznego" spotykamy poważną pracę p Zygmunta Rzyszczewskiego, inżyniera-technologa, p. t. „Cukrownictwo sorgowe w Ameryce i Europie".

Ważna w przemyśle cukrowniczym kwestja otrzymywania cukru krystalicznego z trzciny sorgowej, w pracy p. Rz. traktowaną jest wyczerpująco, na zasadzie danych naukowych i spostrzeżeń praktycznych, osobiście przez autora dokonywanych.

Praca pomieniona, po odpowiednim wstępie, zajmuje się z kolei: rośliną „Sorgo", pierwszemi próbami otrzymywania cukru z Sorga, wyrabianiem cukru z Sorga w prow. Turynu wraz z wynikami techniczno-przymysłowemi, wreszcie urządzeniem zakładu przemysłowego do robienia Sorga, przyczem znajdujemy kosztorys założenia cukrowni i gorzelni do przerabiania 5 tysięcy ton trzciny sorgowej w kampanji 120 dniowej.

*** Pan Bolesław Limanowski ogłosił prospekt na wydawnictwo „Bibljoteczki Socjalno-demokratycznej".

Biljoteczka wychodzić będzie małemi, po większej części jednoarkuszowemi książeczkami, stanowiącemi same w sobie całość. Tytuły pierwszych książeczek sią następujące:

1. Patrjotyzm i Socjalizm.
2. Ferdynand Lassalle i agitacyjne jego pisma.
3. Położenie obecne ludu litewskiego.
4. Stan, potrzeby i zadania klasy robotniczej w Galicji.
5. Polityczna a społeczna rewolucja.
6. Stanisław Worcel i jego znaczenie w ruchu narodowym.
7. Kwestja ruska i t. d.

W prospekcie swym p. Limanowski dodaje:

Wydawnictwo to uważam jako sprawę publiczną i dla tego odwołuję się o pomoc materjalną i umysłową.

Przystępując do wydawnictwa prawie bez żadnego funduszu, nie mogę ogłaszać prenumeraty, ani też obiecywać perjodycznego pojawiania się książeczek. Wydawać je będę w miarę rzeczywistego poparcia publiczności. W tym celu otwieram stałą subskrypcję na cele wydawnictwa i w każdej książeczce na okładce uwidoczniać ją będę. Każdy z subskrybujących ma prawo żądać wysłania wszystkich książek tego wydawnictwa na wybór, w ilości odpowiadającej subskrybowanej sumie i obrachowanej podług cen zniżonych t. j. potrącając 25-procent z ceny księgarskiej.

Proszę także współwyznawców o zasilanie wydawnictwa odpowiedniemi pracami. Honorarjum, w kwocie 40 franków za drukowany arkusz, wypłacać będę początkowo książkami własnego nakładu— podług wyboru samego autora, następnie zaś, jeżeli wydawnictwo znajdzie materjalne powodzenie, płacić będę w gotowiźnie a nawet starać się będę o podwyższenie samego honorarjum.

Uważając wydawnictwo jako sprawę publiczną, przedstawiać będę publiczności dokładny rachunek przychodu i rozchodu, a wszelki czysty zysk obracać będę na powiększenie i rozszerzenie samego wydawnictwa."

Wydawca: *Bolesław Limanowski.*

Adres: Pieniądze, listy i rękopismy proszę przysyłać pod adresem: *Genève* (Suisse). — Boleslas Limanowski, *Chemin Neuf,* 17 (Plainpalais).

*** Znany publicysta i poeta dramatyczny, wydawca znakomitych czasopism literackich: „Die Gegenwart" i „Nord und Süd". Dr. Paweł Lindau, nadał pp. Juljuszowi Meixnerowi i Leonowi Soleckiemu wyłączne prawo tłumaczenia na język polski swych najnowszych, na świeżych stosunkach społecznych opartych a z nadzwyczajnym powodzeniem na scenach austrjackich i niemieckich granych dramatów: „Hrabina Lea" (Gräfin Lea) i „Wstydliwa praca" (Verschämte Arbeit).

Dramaty te zostaną bezwlocznie po ukończeniu tłumaczenia, przesłane teatrom polskim.

*** Dowiadujemy się, że dzieła Puszkina, nie tłumaczone dotąd w sposób odpowiedni, ukażą się w polskim języku.

Jeden z pełnych talentu poetów naszych przystąpił do przekładu „Eugenjusza Oniegina", od którego serja ma się rozpocząć.

*** Kilka dni temu gazety zagraniczne doniosły, że Wiktor Hugo napisał nowy poemat p. t. *L'âne* (Osioł).

Następnie też same gazety przyznały, że się pomyliły, bo tytuł poematu jest *L'âme* (Dusza), przyczem śmiały się nawzajem jedne z drugich, nie żałując sobie przycinków. Wszakże nie na tem koniec.

W najnowszych dziennikach czytamy, że omyłka nie była omyłką i że Wiktor Hugo w samej rzeczy opiewa *L'âne*.

W rezultacie więc, jak powiada jedna z gazet, osioł pozostaje osłem.

*** Dumas w ostatniem swojem ogłoszonem piśmie »*Les femmes qui tuent et les femmes qui votent*» występuje za emancypacją kobiet. Żąda on dla kobiet czynnego i biernego prawa wyborczego. Dumas sprzeciwia się za to obejmowaniu przez kobiety urzędów sędziowskich, ze względu, iż nie pełnią one powinności wojskowych.

*** Ilustracja wiedeńska drukuje nową powieść osławionego Franzosa, opartą na stosunkach Bukowiny i Galicji, p. t. „Ofiara".

Zdaje nam się, iż „ofiarą" padną tu germańscy czytelnicy, których ów pismak w tak haniebny sposób zwykł tumanić.

*** „Gazeta Rolnicza" w Nrze 40 z r. b. zawiera: 1. Reformy włościańskie w dawnej Polsce w XVIII wieku, szkice historyczne przez Walerego Przyborowskiego. 2. Teorja a praktyka w gospodarstwie wiejskiem, napisał dr. Juljusz Au. 3. Jeszcze o przyczynach męczenia roli przez uprawę buraków, napisał dr. S. Kudelka 4. Listy z Galicji. 5. Przegląd polityczny. 6. Wiadomości bieżące. 7. Rozmaitości. 9. Kurjer rolniczy. 10. Odcinek zawiera: „Bolesna droga", przez Sygurda Wiśniowskiego.

Sztuki Piękne.

*** Otrzymaliśmy następującą odezwę:

W celu zadośćuczynienia coraz to bardziej czuć się dającemu brakowi *nieustającej wystawy dzieł sztuki* w naszej stolicy, urządzam w tej mierze osobne apartamenta i otwieram takowe do bez-

płatnego użytku publiczności z dniem 15. października b. r.

Głównem zadaniem moich usiłowań będzie spowodować z czasem zespolenie sił artystycznych w kraju i ułatwić zbyt dostarczonych na wystawę okazów.

Upraszam więc najuprzejmiej wszystkich P. T. Artystów i Lubowników sztuki o łaskawe zasilanie *nieustającej wystawy dzieł sztuki*, niemniej wszystkie pisma krajowe i zagraniczne o łaskawe poparcie instytucji, jaką w życie wprowadzić usiłuję.

Gdy oraz wiadomem jest, że bardzo wiele cennych częstokroć zabytków z świetnej przeszłości naszej popada w ręce niepowołanych i wyzyskujących przekupniów, i jako nieznane osobom szczerze zamiłowanym w zbieraniu okazów starożytniczych, w obce kraje uwożone bywają; przeto przy *nieustającej wystawie dzieł sztuki* urządzam zarazem *nieustającą wystawę starożytniczą* zbroi, rzeźb, obrazów, sztychów, medali, monet, porcelany i w ogóle wszystkiego, co do zakresu tego działu przynależy, zaś o chętnych odbiorców tego działu usilnie staram się.

Chcąc zadośćuczynić wymogom, jakie pomieszczenie stosowne dostarczonych okazów i artystyczny układ pociąga, upraszam o jak najrychlejsze zgłaszanie się i dostarczanie przedmiotów.

Usiłowania moje polecam poparciu światłej publiczności.

Lwów, 1. października 1880.

K. Łukaszewicz,

księgarz i antykwarjusz, ulica Halicka l. 50.

*** Pani Modrzejewska wystąpi 9. bm. w teatrze Court w Londynie po raz pierwszy w „Marji Stuart“ Szylera, adaptowanej dla sceny angielskiej przez p. Wingfielda. W ciągu tego sezonu wystąpi ona w sztukach: Adrienne Lecouvreur, Frou-Frou, Panna de Belle-Isle, Romeo i Julja i Intryga i miłość. Afisz nadmienia, że kostiumy p. Modrzejewskiej pochodzą z pracowni Auguste et Comp., podczas gdy inni artyści wystąpią w kostiumach p. Victora Barthe.

*** W Ermitażu petersburskim znajduje się obraz Rembrandta, znany pod nazwą „portretu Jana Sobieskiego“.

Ilustracja rosyjska podaje drzeworyt rzeczonego płótna.

Wizerunek odznacza się kategorycznem niepodobieństwem rysów.

Mniemają, iż to ma być portret Batorego, właściwie jednak równie dobrze mogłaby to być każda inna postać współczesna malarzowi, tylko nie żaden z dwóch powyższych.

*** Wkrótce dane będą w Warszawie przedstawienia teatru archeologicznego, wyobrażającego starożytną Jerozolimę z świątynią Salomona.

Impressarjem i wykonawcą tej rzeczy jest pan L. Weinberg, który już w r. 1862 publicznie się tam okazywał.

*** W narodowym czeskim teatrze zapowiedziane są na sezon tegoroczny między innemi następujące rzeczy: „Kiejstut“ w przekładzie Klika, „Horsztyńscy“ w tłumaczeniu Howorki i „Chanek“ (artykuł 264) przełożony przez F. L. H.

*** W paryzkim teatrze Ambigu wkrótce przedstawiony zostanie dramat „Nana“, opracowany przez Wiliama Busnacha według romansu Zoli pod tym tytułem.

*** W Warszawie wydaną została „Praktyczna szkoła na skrzypce dla początkujących“, zebrana z najcelniejszych autorów, a ułożona przez Władysława Górskiego, profesora klasy wyższej skrzypcowej w konserwatorium warszawskiem.

*** Teatr chiński. W mieście Portland (Oregon) otwarty został w dniu 19-tym sierpnia teatr chiński.

Orkiestrę stanowiło sześciu muzykantów, których połowa grała na cymbałach.

Samo przedstawienie było dramatem, w którym aktorowie, w liczbie dziesięciu, przebrani za Indian, walczyli uzbrojeni... w drewniane pałasze.

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

*** Gdzie się urodził Kościuszko? Dotychczas mniemano prawie powszechnie, iż Kościuszko ujrzał światło na folwarku Mereczowszczyznie, w powiecie słonimskim.

Mniemanie to okazuje się jednak błędnem.

Na wezwanie bowiem pism warszawskich aby która z osób świadomych wyjaśniła wątpliwość co do miejsca urodzenia bohatera, pani Marja z Estków Wisłocka, prawnuczka jenerała, nadesłała szczegóły, rzucające na tę kwestję światło, jak się zdaje, już należyte.

Z dokumentów i podań domowych wiadomem jest pani M. Wisłockiej, iż pradziadek jej urodził się, jak to potwierdza Niesiecki, w Siechnowicach, w majątku położonym w powiecie kobryńskim, gubernji grodzieńskiej.

W Siechnowicach również przemieszkiwał stale Kościuszko aż do wyjazdu swego do Ameryki.

Do dziś dnia jeszcze w ogrodzie siechnowieckim zachował się szpaler sadzony ręką Tadeusza, zwany „labiryntem“, z powodu ścieżek licznych a krętych.

Siechnowice nadane były przodkom jenerała jeszcze przez Kazimierza Jagiellończyka, łącznie z majątkami Leniewice i Stupniczewo.

*** W Piotrkowie, w Kongresówce, wskutek propozycji dr. Strzyżowskiego, na zimowe miesiące sprowadzoną została z Niemiec nauczycielka koronek.

Będzie ona nauczała tej sztuki dziewczynki w miejscowych szkołach, katolickiej i izraelickiej.

Nauka trwać ma od października do maja po dwie godzin dziennie.

Dziewczęta uczyć się będą wyrobu koronek w lepszych gatunkach. Nie potrzebujemy dowodzić, ile rzecz podobna przynieść może pożytku i że w każdym razie powinna służyć za wzór do naśladowania.

*** Pan Jan Ihnatowicz, właściciel zakładu perfumerji i kosmetyków we Lwowie, otrzymał na wystawie cieszyńskiej medal srebrny za swoje wyroby, nie ustępujące w niczem tego rodzaju zagranicznym produktom.

*** Stowarzyszenie wyzwolenia kobiet w Anglji ogłosiło stan sprawy za pierwsze półrocze, z którego się okazuje, że płeć piękna w trójkrólestwie nie na żarty bierze się do pracy.

Społeczeństwo miejscowe chętnie w dziele emancypacji udział przyjmuje, otwierając najszersze pole kobietom do zarobku.

W tym roku najwięcej pań miało zajęcie na pocztach, telegrafach i w bankach.

Praktyka pocztowa kobiet w Anglji datuje się od 10 lat; w pierwszym roku 700 osób znalazło pomieszczenie w biurach tego zarządu.

Obecnie otworzono korporację i kasę emerytalną.

Pensje kobiet przy telegrafach i na poczcie wynoszą od 30 do 100 funtów; rząd wybornie wychodzi na tym stosunku, bo za małą płacę ma dobre robotnice.

Obecnie kobiety zaczęto przyjmowac do pomocy w pracowniach obrończych.

Jako nauczycielki, zecerki i buchalterki oddawna odznaczały się zdolnościami i pracowitością.

*** Odbyty w Medjolanie w bieżącym miesiącu trzeci międzynarodowy kongres hygieniczny wybrał komisję, mającą za zadanie wręczyć pojedyńczym rządom *memorandum* w sprawie palenia zwłok, aby wszystkie sprzeciwiające się temu przepisy mogły być zniesione.

*** Według świeżo ogłoszonej statystyki pułkownika Feiss, armia szwajcarska liczy 202,479 ludzi, pomiędzy tymi 4215 oficerów.

*** Do Liverpolu parowcem »*City of Berlin*« przywieziono w tych dniach z Ameryki 1200 beczek świeżych jabłek nowego zbioru, które przybyły w bardzo dobrym stanie.

*** Jezioro Gopło będzie uspławnione; przedsięwzięto już przedwstępne roboty.

*** Najprostsza stacja pocztowa na świecie, istnieje na wyspie Booky, rafie skalistej, między Queenslandem i Nową Gwineą, w cieśninie Torresa, wielce niebezpiecznej dla żeglugi z powodu raf koralowych. W jednej tedy z jaskiń wyspy, oznaczonych wysoką chorągwią, stoi wielka beczka z napisem: „Poste office“ (biuro pocztowe). W beczce znajdują się materjały piśmienne i książka do notowania. Obok beczki leżą zapasy żywności różnej dla mogących się zdarzyć rozbitków, o których tu nie trudno. Każdy okręt przepływający obok wyspy, a obficie zaopatrzyny, uzupełnia ten magazyn, a zarazem z biura beczkowego zabiera listy znalezione dla przesłania ich wedle adresu.

*** Zafałszowanie kawy cykorją. Próby na wykrycie cykorji w kawie mielonej nie zawsze są stanowczemi. Bardzo polecano sposób polegający na wrzuceniu szczypty kawy mielonej do wody, przyczem cykorja opada na dno, a kawa pozostaje na powierzchni. Środek ten nie daje pewności, bo cząstki kawy słabo wypalonej lub przepalonej również toną, jak cząstki cykorji. Przy słabem wypaleniu kawy nie wytwarza się na jej powierzchni materja tłusta, która podtrzymuje ją na wodzie; przy przepaleniu kawa karawelizuje się na powierzchni, łatwo nasiąka wodą, więc tonie. Z drugiej znowu strony, fałszujący kawę cokorją, dodają przy paleniu tej ostatniej tłuszczów (masła, oliwy itp.), co sprawia, że cząstki jej utrzymują się na powierzchni wody, jak cząstki kawy.

Najlepszym środkiem badania, byłby mikroskop, ale podręczne użycie jego w sklepie przy kupnie jest niemożliwem.

P. Prunier, aptekarz z Tonnere we Francji radzi kawę mieloną wysypać na papier biały. Cząstki kawy mają krawędzie rozłomu ostre i kończaste; cząstki palonej cykorji są bezkształtne i zwykle ciemniejsze. Podejrzane cząsteczki można nadto próbować igiełką w trzonku osadzoną. Cząsteczka kawy naciśnięta taką igiełką, jako twarda i rogowata, albo wymyka się z pod ostrza, albo w miał rozpryskuje; w cząsteczkę cykorji jako w daleko miększą, ostrze wchodzi bez trudności. Ziarnka, w które igiełka wchodzi, biorą się na zęby przednie; jeżeli są one cykorją, to nie pękają nagle jak ziarnka kawy, ale raczej dają uczucie jakby drobnego niezmiernie piasku, a smak ich gorzko-kwaskowaty, nie przypomina wcale gorzko-wonnego smaku kawy.

Odkrycia i wynalazki.

Nowy sposób platerowania. Na niedawnem posiedzeniu Towarzystwa naukowego Dublińskiego, jak donosi dziennik *The Ironmonger*, doktor *Beynolds* przedstawił nową, wynalezioną przez siebie metodę prkrywania powierzchni metalowych i innych świetną i silnie przylegającą powłoką galeny (rodzimego siarku ołowiu.) Podobne pokrycie rurki mosiężnej a drugiej szklannej, uskutecznione zostało na posiedzeniu przez proste zanurzenie ich w roztworze, z którego szybko osadziła się na nich piękna zwierciadlana powłoka, łatwo nabywając ostatecznego blasku przez wtarcie skórą zamszową i nie ścierając się przy bardzo silnem tarciu. Barwa powłoki tej jest ciemniejszą niż czystego srebra ale jaśniejszą od srebra oksydowanego, a łatwo nabywać może szczególnego błękitnawego odcienia, podnoszącego jej piękność. Dr. Beynolds okazywał zarazem znaczną liczbę przedmiotów żelaznych, stalowych, mosiężnych, szklannych, porcelanowych, kauczukowych i innych, które przez dwa przeszło miesiące pozostawały pod wpływem rozmaitych czynników a bynajmniej nie zblakły ani zardzewiały. Wynalazca dodał, że cena podobnego platerowania galenu wynosi zaledwie ósmą część kosztu pokrywania niklem. Każdy nadto zręczny rzemieślnik może sam platerować sobie żądane przedmioty, nie potrzeba bowiem do tego działania elektryczności.

*** Papier trwały, opierający się działaniu ognia i wody, przygotowują obecnie w sposób następujący: Dwie części zwykłej miazgi papierowej miesza się z jedną częścią miazgi amiantowej, roz-

wiedzionej w roztworze soli kuchennej i ałunu. Taką mięszaninę puszcza się na zwykłą machinę bez końca, służącą do wyrabiania papieru. Otrzymany papier zanurza się w roztworze wyskokowym gumilaki, a następnie przepuszcza przez walce które go suszą i wykończają. Sól i ałun nadają mu moc, a nadto wraz z amiantem oporność na działanie ognia. Gumilaka robi go nieprzepuszczalnym na wilgoć i nierozlewającym się, tak, że można na nim pisać lub rysować atramentem zwykłym, jak na zwykłym papierze biurowym. Nadaje się on więc doskonale na księgi kupieckie, akta i dokumenta niezniszczalne w razie ognia. Najlepszym zaś atramentem w tym razie, jako najtrwalszym i najtrudniejszym do wywabiania, pozostaje zawsze dawny nasz atrament z orzeszków galasowych.

ROZMAITOŚCI.

Zatopiony pociąg.

Inżynier Dżems (James) Ford podjął się wydobyć z głębin morza pociąg kolejowy, który był spadł do wody wraz z pasażerami, załamawszy się na tejskim moście w Anglii. Będzie to sztuka niemała, wymagająca silnych maszyn i dźwigni, umyślnie ku temu obmyślanych. Przed przystąpieniem do robót wstępnych, należało panu Ford zbadać wprzód stan i położenie, w jakiem leży pociąg na dnie morskiem, co też niedawno uczynił, wziąwszy do pomocy kilku nurków wypróbowanej reputacji. Dzięki światłu elektrycznemu, udało się panu Ford obejrzeć doskonale pociąg, i oto co o nim powiada: Lokomotywa strzaskana, a nad nią pływa trup maszynisty, mając jedną nogę przygniecioną przez lokomotywę; oczy trupa szeroko rozwarte, różne morskie mniejsze i większe zwierzątka wpiły się jak pijawki w ciało, a sam buja w wodzie poruszany jej biegiem tak, że zdaleka wygląda na jakąś morską roślinę, ciągle się kołyszącą. Palacz ze zdruzgotaną głową leży pod kupą węgla. W wagonie pocztowym w chwili katastrofy było trzech urzędników, i wszyscy trzej zbili się do kupy u drzwi wychodowych. Według wszelkiego prawdopodobieństwa odbyła się pomiędzy nimi przed śmiercią okropna walka o wyjście. Znaleziono ich tak: ten, co stał najdalej ode drzwi, trzyma za gardło i dusi tego, który był ich najbliżej i trzymał za klamkę, a trzeci pomiędzy nimi, ściśnięty jak w kleszczach. W następnem coupé I. klasy znaleziono 6 ludzi różnej płci i wieku; zdaje się, że wszyscy sześciu stanowili jedną rodzinę: ojciec, matka i dzieci. Dziwnym wypadkiem tak jak siedzieli za życia, tak i teraz pod wodą w tymże samym porządku siedzą ich trupy, każdy na swem miejscu. Z innego znów wagonu wypłynął trup oficera; głowę ma strzaskaną i drzwiami przymkniętą, cały oblepiony zwierzętami morskiemi, które objadły już mięso z nóg i rąk; w piersiach oficera rozkoszował się ogromny krab (rak morski) i nie chciał wyleźć, tak mu tam było dobrze i wygodnie. W innem coupé II. klasy widok był stokroć okropniejszy. Przy świetle latarni elektrycznej, z którą oglądający spuścił się w toń morską, ujrzał wagon napchany trupami w najrozmaitszych pozach; przez okno nalazło ryb dużo i całemi gromadami żarłocznie objadały mięso, zacięcie walcząc między sobą o miejsce w tej uczcie. W innych wagonach podobnez obrazy. Widok był tak obrzydliwy, straszny i okropny, że pan Ford dopiero po upływie tygodnia zdecydował się po raz drugi zajrzeć do nieszczęsnego pociągu. Formalnie przechorował pierwszą swą wizytę.

Z SAN-FRANCISCO.

Korespondenci z San-Francisco, wspominają o dwóch nader ciekawych osobliwościach, jakie tam dostrzedz się dają.

Pierwszą jest tamtejsza straż ogniowa, drugą — wyścigi dam *(Ladies-Race)*.

Straż ogniowa w San-Francisco rzeczywiście jest urządzona wzorowo i ma zasługi niepoślednie.

Dość powiedzieć, że w mieście, przeważnie z drewnianych złożonem budynków, zabudowanem ciasno, w którem panują ciągłe gorąca, pożar, jeżeli się zdarzy, nigdy prawie nie zdoła dosięgnąć znaczniejszych rozmiarów.

Zostaje on stłumiony natychmiast, dzięki wybornej organizacji straży i jej umiejętności.

W ogóle, w Ameryce straż ogniowa jest na bardzo wysokiej stopie; ostatnio przy komendach straży ustanowione nawet zostały, na koszt towarzystw asekuracji specjalne oddziały, zajmujące się wyłącznie ratowaniem podczas pożaru ludzi i różnych przedmiotów.

Straż ogniowa dzieli się na kilka oddziałów.

Każdy oddział mieści się w specjalnym budynku, którego dół zajmują stajnie, wozownie i biuro oddziału, piętro zaś koszary straży i oddziału ratunkowego.

Koszary są urządzone wcale dogodnie, mieszczą jadalnię, salę z bilardem, bibliotekę, skład ubiorów do pożaru itd.

Dodać należy, że oddział straży składa się z kilkunastu zaledwie osób i naczelnika.

Ubiór do pożaru odznacza się tem, że wkłada się odrazu, począwszy od bluzy aż do obuwia.

Najgodniejszem uwagi jest urządzenie stajni.

Kiedy telegraf daje znać o pożarze, zegar zatrzymuje się tak, że można zliczyć, ile czasu upłynęło od otrzymania sygnału aż do wyruszenia z koszar.

Zwykle oddział gotów jest — w minutę.

Szybkość taką osiągnąć można przy pomocy mnóstwa dowcipnych urządzeń: tok elektryczny, dający sygnał, jednocześnie za pośrednictwem różnych przyrządów zapala gazy i otwiera wszystkie drzwi.

Strażacy jednym ruchem wkładają na siebie całą odzież — i nie schodzą, a staczają się do stajni po pochyłej w tym celu specjalnie urządzonej płaszczyźnie.

W tej chwili tok elektryczny zwalnia konie, stojące w uprzęży, od uwiązania, i stają one przy dyszlu właściwego wozu.

Ażeby konie nie zapomniały o swych obowiązkach nad każdym z nich wisi bicz, poruszany elektrycznością; w chwili sygnału koń otrzymuje uderzenia biczem.

Uprzęż jest uproszczoną do niemożliwości.

W kilka sekund daje się słyszeć świst bata i straż wyjeżdża, zapinając guziki, kładąc hełmy i t. d.

Wozy ich zapełnione są arsenałem rozlicznych najciekawszych przyrządów, z których wymienimy tu tylko: naczynia zgęszczonym kwasem węglowym gaszącym płomienie tam, gdzie chce przejść oddział, drabiny i siatki, schody mechaniczne, wreszcie niepalne i nie przemakające tkaniny do okrywania towarów itd. itd.

Strażacy w ogóle są wynagradzani bardzo dobrze; otrzymują oni po kilkadziesiąt dolarów miesięcznie.

Zato jednak nie mogą się nigdzie oddalać, nie napisawszy na tablicy adresu, pod którym się znajdują a do miejsc gdzie się zbierają, przeprowadzony jest telegraf.

W ogóle przy takiem urządzeniu i przy wszystkich udoskonaleniach przyrządów do gaszenia pożaru wystarcza tam daleko mniejsza aniżeli u nas liczba ludzi...

Co do wyścigów dam to, niezwykła ta rozrywka jest w San Francisco wielce upowszechnioną i lubioną.

Nazywa się ona urzędownie „Ladies 100-Hour Race".

Rzecz polega na tem, że w odpowiednio urządzonym wielkim baraku t. z. „pawilonie mechanicznym" w arenie eliptycznej wysypanej opiłkami chodzą przez sto godzin młode kobiety — i która z nich przejdzie przez ten czas największą przestrzeń ta otrzymuje 1200 dolarów nagrody.

„Wyścigi" te odbywają się codziennie w ciągu siedmiu dni od godziny w pół do pierwszej w południe do pierwszej w nocy.

Jeśli która z zapaśniczek jest zmęczoną, może odpoczywać i w tych godzinach, lecz czas ten już się nie liczy; w ten sposób w interesie każdej leży nawet jeść i pić podczas biegu, ażeby nie tracić ani chwili czasu.

Komisja sędziów tymczasem notuje przebieżoną przestrzeń, co zrobić nader łatwo, ponieważ kobiety mają na kapeluszach numera, a okrąg areny równa się $1\frac{1}{2}$ wiorście.

W kontrolce przy imieniu zapaśniczki oznaczoną zostaje zrobiona przez nią mila, i publiczność, która trzyma zakłady, może dowoli kontrolować bieg...

Część pawilonu zajmują odpowiednio urządzone pomieszczenia dla widzów i trzymających zakłady...

Są tu dla nich nawet — łóżka.

Ścigającym się kobietom, jak biegunom wyścigowym, trą nogi spirytusem...

W wyścigu, który się podczas mojej bytności w San-Francisco rozegrywał, uczestniczyło 12 zapaśniczek, z których za trzy tylko trzymano zakłady.

Za miss Howart trzymano jednak cztery razy więcej, aniżeli za misses Joungh i Tobias.

Na trzeci dzień miss Howard przeszła już $151\frac{1}{2}$ wiorst miss Joungh 150 i miss Tobias 147.

Pomimo to szły one równym krokiem naprzód...

Wszystkie zapaśniczki noszą krótkie spodniczki i długie kolorowe pończocy, idą miarowo machając rękoma, te zaś które biegną lub podskakują, łatwo się męczą i pozostają w tyle.

Miss Howard, która odznaczała się największą wstrzemięźliwością, zwyciężyła już w kilku podobnych wyścigach

Jestto młoda osoba średniego wzrostu, blondynka, o miłych rysach twarzy, wyglądająca dobrze choć nieestetycznie.

Wróżono jej powszechnie zwycięztwo...

W ogóle ekscentryczne to widowisko na Europejczyku robi bardzo -- i bardzo—niemiłe wrażenie, pomimo, że Yankesowie wychwalają jego gimnastyczne znaczenie...

Od Redakcji.

P.P. Autorów, którzyby sobie życzyli, ażeby o ich pracach była w „Tygodniu Polskim" zamieszczoną ocena — upraszamy o nadsyłanie dzieł zaraz po ich wyjściu, wprost pod adresem: Redakcja „Tygodnia Polskiego" we Lwowie plac Halicki l. 14.

Treść Nr. 41. str.

Z Drukarni „Gazety Narodowej" pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.